

VIVA RIGOBERTA!

W piątek, 16 października 1992 roku norweski komitet Pokojowej Nagrody Nobla uhonorował Indiankę *Maya* z Gvateali - Rigobertę Menchu Tun. W uzasadnieniu decyzji czytamy, że nagrodę przyznano Rigobercie "w uznaniu jej walki o sprawiedliwość społeczną i pojednanie się ludów na płaszczyźnie etniczno-kulturowej". Nagroda ta zawsze była kontrowersyjna. Otrzymali ją m.in. pastor Martin Luther King, Willy Brandt, Lech Wałęsa i arcybiskup Desmond Tutu. Choć kontrowersje wokół obchodów 500-lecia dotarcia Kolumba do Ameryki nie miały decydującego wpływu na tegoroczna nominacje - zdaniem koalicji - to jednak zbieżność nie jest przypadkowa. Nagroda dla Indianki uważana jest za symboliczne przyznanie się Europy do winy za brutalne niszczenie indiańskich kultur i ludobójstwo na terytoriach mieszkancach obu Ameryk.

Pieniądze z nagrody - milion dwieście tysięcy dolarów - mają być przeznaczone na założenie fundacji imienia ojca laureatki, Vincente, który zginął w 1980 roku w pożarze ambasad hiszpańskiej okupowanej przez grupę Indian w proteście przeciwko zbrodniom rządu wojskowych. "Jedyna rzeczka, jakiej pragnę - powiedziała Rigoberta - to wolność dla Indian, gdziekolwiek się oni znajdują".

Najmłodsza laureatka w historii Pokojowych Nagród Nobla urodziła się w 1959 roku w Chiamel, małej wiosce gwatemalskiej, położonej w regionie zamieszkanym przez potomków Majów. Jej rodzice uprawiali kukurydze, a sezonowo zbierali kawę i bawełnę. W opublikowanej autobiografii *Ja, Rigoberta Menchu* opowiada o pracy dzieci na plantacji kawy, o życiu w niedźwiznych barakach, o tym, jak umarł jej brat z powodu niedożywienia. Tak jak większość tubylców nie znała hiszpańskiego, nie umiała pisać ani czytać. Przyjęła pracę służącej w stolicy tylko po to, by nauczyć się języka i moc skuteczniej walczyć o prawa swego ludu.

Podobnie jak wiele innych krajów Ameryki Środkowej i Południowej, Gwatemala stała się w latach sześćdziesiątych miejscem krwawych starć pomiędzy potomkami europejskich kolonizatorów i ludnością

tubylczą. [Zob. artykuł Rigoberty Menchu w: TAWACIN nr 1(18) zima 1992] W latach 1970-1980 przetrwały one w brutalną pacyfikację Indian. Rodzina Rigoberty dotknęła ona w sposób bardzo okrutny. Jej szesnastoletni brat był torturowany, a później spalony żywcem. Podobny los spotkał jej ojca. Wkrótce po jego śmierci żołnierze zgwałcili matkę Rigoberty. Zostawili ją przywiązana do drzewa, gdzie konała przez kilka dni. Rigobercie udało się uciec do Mekeyku, gdzie mieszka do dziś. Choć swoją działalnością przypomina światu, że w Ameryce nadal prześladowane są Indian, to nigdy nie opowiedziała się jednoznacznie za walkę zbrojną tubylców. Wiele organizacji indiańskich z Kanady, USA i Ameryki Południowej opowiedziało się po jej stronie. Co więcej, Pedro Casaldaliga, biskup brazylijski i znany obrońca praw człowieka w tym kraju, na wieść o kandydaturze Rigoberty natychmiast wycofał swe nazwisko z listy kandydatów do tegorocznej nagrody i z całym przekonaniem poparł jej kandydaturę.

Rigoberta Menchu wielką wagę przykłada do potrzeby tradycjonalizmu, czego zewnętrznym przejawem jest jej tradycyjny strój kobiet gwatemalskich: dwuczęściowy komplet oparty na pradawnym kroju, wzornictwie i kolorystyce.

"Stroje ludu Majów z Gvateali są widocznym znakiem naszej historycznej ciągłości, są znakiem naszej tożsamości. Jesteśmy rozpoznawalni dzięki tym strojom. Nasze stroje to milcząca walka wypowiedziana tym wszystkim, którzy chcą zniszczyć naszą kulturę. Naszym dzieciom nie pozwala się chodzić do szkoły w tradycyjnych ubiorach, a jednocześnie wielkie zakłady tekstylne wykorzystują naszą kulturę i mitologię do robienia wielkich międzynarodowych interesów. Nabywcy tych ubiorów nic nie wiedzą (i nie chcą wiedzieć) o znaczeniu tego pradawnego symbolizmu. Dla nas nasze stroje są świadectwem istnienia jako cywilizacja, jako kultura, jako ludzie." (SAIIC Newsletter nr 1.2/1991. s. 30-31)

Rigoberta nie wzięła za waz, gdyż uważa, że jej osobiste szczęście może poczekać. "Czasami myślę - powiedziała - że to, co przeżyłam starczyłoby na kilka zyciorysów, a mam dopiero trzydzieści trzy lata".

oprac. MM



JESIEŃ - ZIMA 1992

NR 3 (20)



Minęła już rocznica 500-lecia "odkrycia" Ameryki przez Kolumba. Nie poświęciliśmy jej zbyt wiele miejsca w *Tawacinie*, ale myślę, że zrobiło to za nas wiele innych czasopism pisząc i o Kolumbie i o Indianach, czasami dobrze, czasami źle. Z okazji tego "odkrycia" odbyło się w Polsce wiele wystaw, prelekcji, przeglądów filmowych, koncertów, demonstracji i innych imprez. Jedną z nich zorganizowało w Warszawie P.S.P.I. Odbyły się między innymi demonstracje pod ambasadami Stanów Zjednoczonych i Kanady. Szkoda tylko, że większość członków Stowarzyszenia jest przyjaciółmi Indian Ameryki Północnej, że uwzględniono jedynie te dwie ambasady. Nie trzeba chyba dodawać, co działo się i dzieje nadal z Indianami takich krajów jak Brazylia, Gwatemala czy Paragwaj.

Ze względu na mnogość miniojących wydarzeń związanych w jakiś sposób z "odkryciem", poświęcamy im w tym *Tawacinie* dość dużo miejsca, ale myślę, że następny numer wróci już do norwy, a nawet lepiej - postanowiliśmy wprowadzić więcej literatury. Mimo iż od ostatniego zlotu minęło już pół roku to problem poruszony przez Marka jest ciągle aktualny i tyle jest zdań na temat zlotu ilu jego uczestników. Mój pogląd na ten temat można zamknąć w jednym zasłyszonym zdaniu: "Złot powinien być odpoczynkiem po całorocznej pracy, a nie pracą po całorocznym wypożyczeniu." To wszystko.

Za dość duże opóźnienie bardzo przepraszamy i postaramy się, by zmniejszyło się do zera. O ile ten rok będzie dla nas wszystkich szczęśliwy, czego sobie - redakcji i Wam - Czytelnikom życzymy.

Redaktor Naczelny



Ukazuje się w marcu, czerwcu, wrześniu i grudniu

Redaguje zespół:

Wiesław Karnabal (redaktor naczelny)
Marek Maciołek i Marek Nowocien
Stałe współpracują: Roman Bała, Marek Głuchowski i Wiesław Kołeczek

Adres redakcji: Dąbrowa, ul. Szkolna 9
62-069 Pałędzie

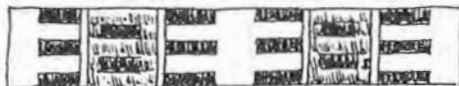
Wydawca: TIPI s.c. ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo

Druk: Zakład Usług Poligraficznych
WI-MARK, Kalisz, ul. Czereszniowa 10

W numerze m.in.:

- druga część indiańskiego mistycyzmu Pauli Gunn Allen..... 3
- "Humaweepe - kapłan wojownik" nieznanowite opowiadanie Leslie Marmon Silko.....10
- poezja Williama Oandasana Indianina z plemienia Yuki.....14
- w nieznanym kartach historii o największej indiańskiej demonstracji lat siedemdziesiątych.....16
- referat Dariusza Jakubiaka na temat pracy Korczaka Ziółkowskiego nad budową pomnika Szalonego Konia.....20 i postscriptum Marka Nowocienia.....23
- "pokochałem tych ludzi..." z USA pisze Jacek Piowski.....25
- o czym mówiono na VIII Europejskim Spotkaniu Grup Poparcia Tubylczych Amerykanów w Genui we Włoszech pisze Ania Bondarska.....27
- Tawacin przedstawia stowarzyszenie Soconas Incomindios.....28
- o tym co się działo w październiku 1992 roku.....29
- o Tantoo Cardinal indiańskiej aktorce filmowej.....36 i filmie "Czarna Suknia", w którym zagrała epizodyczną rolę, i który pojawił się niedawno w kinach.....39
- indiańska kuchnia czyli smakołyki Grubej Moniki.....40
- jak zrobić mokasyny.....42
- o XVI zlocie w miejscowości Korne pisze Marek Maciołek.....44
- o nowym polskim czasopiśmie "Tatanka".....47
- Rigoberta Menchu - najmłodsza laureatka Pokojowej Nagrody Nobla...52 i inne

TAWACIN jest pismem polecanym przez Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian skr. poczt. 4, 15-472 Białystok 21



Podziękowania:

Redakcja dziękuje za nadesłane materiały Kasi Augustyn, Dorocie Solik, Krzysztofowi Skomoroko i Radkowi Kisielewskiemu. Joasi Mieszko za stronę graficzną oraz Mirkowi Sulgostowskiemu za zestaw humorystycznych rysunków.

Paula Gunn Allen MISTYCYZM INDIAN AMERYKAŃSKICH



Mistyczna ścieżka

W kulturach plemiennych stany ekstazy czy mistyczne zamieniają się nie tyle na indywidualne przeżycia emocjonalne, ile na doznania fizyczne. czyli o bezpośredni wpływ na aferę fizyczną (tzn. w wyniku osiągnięcia stanu ekstazy praktykujący może zrobić coś nadzwyczajnego). Przeżycia wizjonerskie zatem same w sobie wymagają pewnej aktywności rytualnej, w jaką jednostka jest zaangażowana czyli umożliwiają wstępowanie w życie jako święta osoba.

Dwoje autorów, Peggy V. Beck i A. L. Walters, omawiając święte drogi poznania pisze o "stanach ekstazy":

"W stanie ekstazy czyli odmiennej świadomości, jednostka odkrywa, że może utracić zdolność myślenia lub mówienia w zwykły sposób. Do głosu dochodzą inne środki percepcji i porozumiewania się. Na przykład jednostki, które raz lub częściej doświadczały tego rodzaju odmiennej świadomości odkrywają, że potrafią bez wcześniejszych prób - komponować pieśni, widzieć przyszłość, przepowiadać wydarzenia, zaglądać w

głąb ciała czy widzieć chorobę, a nawet latać."

Praktykujący mogli zatem wprawić się w stan ekstazy, aby określić miejsce, w którym przebywa zwierzyzna łowna, przywołując ją do myślowego; usunąć przedmiot "wiejący chorobę" z ciała pacjenta; "sprowadzić" zagubione siodło czy strzelbę do miejsca, gdzie ludzie mogą odzyskać zglubę; dać moc jakiemuś przedmiotowi czyli stworzyć talizman lub amulet; wywołać deszcz lub spowodować azero-ką gamę różnorodnych zjawisk w świecie materialnym. Słowem, mistykami plemienia jest taka osoba, która opanowała pewne tajemnice i potrafi wywołać określone efekty w rzeczywistości jako rezultat biegłości w władaniu tymi tajemnicami.

Tubylczosamerykańscy mistycy, określani mianem: szamanów, śpiewaków, kapłanów, mędrych, czarowników czy świętych ludzi (różnorodność terminów odzwierciedla nie tylko lokalne nazewnictwo, ale również daje wskazówki, jak odróżniać różne święte (etodologicznie) posiadają świadomość i kompetencje analogiczne do tych, jakie reprezentują święci, jogini, szamani, prorocy czy nauczyciele w tradycjach Wschodu. Zdolność plemiennych mistyków do wykorzystywania niezwykłych energii i sił, do podróżyowania w odległe miejsca (w ciele i poza nim) inaczej niż ruch fizyczny, do poznania i rozumienia świata zarówno nadprzyrodzonego, jak i naturalnego w całej jego złożoności, podobna jest w efekcie do umiejętności przypisywanych świętym Starego Świata.

Tego, co czynią ci mistycy nie da się opisać jako po prostu duchowe, gdyż władają oni prawami wszechświata pojmowanego jako święty i potężny, z dala od codziennej sfery życia ludzi, którzy ekadziennie mogą przejawiać paranormalne umiejętności. Nie można ich też porównywać z medium, co się obecnie praktykuje w USA. Plemienni adepci poruszają się na płaszczyźnie mistycznej kompetencji i doświadczenia o wiele sprawniej niż większość pozostałych osób, którzy są już - jako grupa - przywiązani do mistycyzmu na drodze genetycznego i kulturowego dziedzictwa.

Adepci czerpią Moc z przebywania w tym, co nazywamy "Przezielenią Mistyczną". Wkraczanie w tę przestrzeń, która w swym centrum czyli sercu jest "stworzeniem"

(creation), wymaga określonego sposobu postępowania, jak również wrodzonego temperamentu. Dorastanie w plemiennym środowisku to zaledwie początek, choć oczywiście dysponując solidnym mistycznym -apofiecznym fundamentem, osiągnięcie kolejnych atopni staje się łatwiejsze. Praktykującymi się wchodząc w tę przestrzeń coraz głębiej, żeby w niej zamieszkać i czerpać z niej wszelkie potrzebne energie dla dobra ludzi.

Kultury plemienne, wiedza i moc są zawsze ze sobą związane, jak zauważyła Essie Parrish, wizjonerka z ludu Pomo:

"Stwórca umieścił wszystko w wielkim domu towarowym; jest tutaj wszystko, co się zdarzyło i jeszcze przydarzy rodzejowi ludzkemu. Złożona jest tu wszelka wiedza. Jest ona dostępna, czyli przekazana ludziom przez szamana, w różny sposób, w różnym czasie i miejscu. Gdy Stwórca widzi, że (ludziom) czegoś brakuje do wiedzy-mocy, zaopatruje w to szamana owego ludu."

Co może skłonić człowieka do pojęcia ścieżki mocy? Przymus wtąpienia na trudną drogę świętości może pojawić się pod wieloma postaciami: wizja, w której jest się kierowanym przez Oucha Oplekującego; bliski kontakt z tymi sprawami od wczesnego dzieciństwa, tradycja lub szlachectwo. Moim zdaniem, dobrze zilustruje to kilka tradycyjnych ścieżek mistycznych: uwiedzenie, wpadnięcie w moc i uprowadzenie - ze względu na pełne przeciwieństwo duchowych praktyk amerykańskiego chrześcijaństwa. Pod wieloma względami, tradycyjne ścieżki wydają się zupełnie sprzeczne z chrześcijaństwem i chrześcijańskim mistycyzmem.

Uwiedzenie jako Ścieżka Mocy

Uwiedzenie to termin, jaki stosuje w odniesieniu do praktyk szukania Mocy. Uwiedzenie jest przerobionym sposobem szukania Mocy wśród Tubylczych Amerykanów. Poszukiwacze stosują mnóstwo uwodzicielskich chwytów celem zwrócenia uwagi Świętej Osoby; podobnie jak kochankowie stosują różne sztuczki do przyciągnięcia uwagi ukochanego. W sufizmie uwodzicielska natura poszukiwania obejmuje namiętne, niespełnione pragnienie; zwyczajnie plemienne natomiast częściej przejawiają

się w formie polowania, karmienia, ubierania, dawania prezentów i błagania jako ewentualne sposoby zdobycia odpowiedzi od Mocy.

Poszukujący zabiega o Moc w taki sam sposób, w jaki myśliwy szuka swego łupu. Maksymalnie ostrożny podkrada się w odpowiednim czasie nie zważając na trudności; powoli i wytrwale prowadzi tropienie. Liczne dary, takie jak pyłek kwiatowy czy turkusy, składane są wokół tropów zwierzyzny; w ofierze składa się dym i modlitwa aby pochlebstwami nakłonić Moc do porozumiewania się z poszukiwaczem-myśliwym. Jeśli ten ma szczęście, udaje mu się zawrzeć porozumienie z Mocą i zapewnić sobie pomyślność.

Kobieta Górski Wilk (Mountain Wolf Woman) opłakuje jeden z takich variantów - ważność bycia dobrą dla ludzi starych gdyż jak mówi:

"Siła myślenia starych ludzi jest potrzebna i jeśli ktoś z nich myśli o dobrych rzeczach dla ciebie, cokolwiek zapagnie dla ciebie ty to zdobędziesz. Tak zawsze powtarzali starzy ludzie (tradycjonalisci)."

Kobieta Górski Wilk mówi to nie tylko dlatego, że w to wierzy, ale również dlatego, że usiłuje zaskarbić sobie względy pewnego starca, którego z szacunkiem nazywa swoim dziadkiem. Choć był właścicielem jej szwagra, ona odnosi się do niego jak do dziadka, gdyż szukała i otrzymała w końcu święta informację od niego, co wymagało stosunków pełnych szacunku. Ważne było to, że on myślał ustnie o dobrych rzeczach dla niej, gdyż miał wiedzę której ona pragnęła. Aby ją zdobyć, musiała na nią zapracować.

"Zwykle dawałam mu różne rzeczy. Nosił mokasyny z jeleniej skóry, zawsze nosił indiańskie obuwie. Nie lubił butów z twarzą zelówką, więc szyłam mu mokasyny ze skóry. Był mi wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobiłam. Jeśli byłam w wieście i był tam sklep z używaną odzieżą, to zawsze szukałam w nim dużych spodni i jeśli trafiałam na właściwy rozmiar, to je kupowałam dla niego. Podobnie z koszulką. Dawałam mu je - Dziadku - mówiłam do niego - przyniosłam te rzeczy dla ciebie. - Ach młoczek - odpowiadał - jesteś taka dobra.

Bardzo często robiłam to dla niego;

często go karmiłam. Jeśli przechodził akurat drogą w porze obiadowej, wołałam go - Dziadku, chodź coś zjeść.

- Świetnie! - odpowiadał, przychodził, jeść i był bardzo zadowolony.

Czasami gdy znalazłam jakieś piaseczki w odpowiednim rozmiarze i gdy było mnie na to stać, to też kupowałam go i dawałam mu w prezencie."

Na koniec Kobieta Górski Wilk kupiła mu mały piecyk i ustawiła w jego "wigwamie". Mężczyzna był bardzo zadowolony i spytał ją, czego pragnie, przypominając że dawała mu pożywienie i ubranie; że traktowała go bardzo dobrze, świadcząc mu wiele przyśług. Zasłużyła sobie na wdzięczność starego człowieka, który przez cały czas wiedział, o co chodzi. Stwierdził że zapłaciła już wystarczająco dużo okazując przy tym sporo zdecydowania, wrażliwości, świadomości i kompetencji przy wskazaniu, że jest jej coś winien, a także udowodniła, że nie przyjmie Mocy bez odpowiedzialności, ani nie będzie jej wykorzystywać w niemądry sposób czy do własnych celów.

Powiedziała mu nie wprost - zgodnie z indiańską drogą - że odpowiada jej indiańskie lekarstwa i pragnie ich, a także pragnie wiedzy, jak ich naprawdę używać do leczenia dolegliwości. Mężczyzna powiedział jej, że poprosiła go o coś bardzo cennego, że on sam robi się już stary, a nikt z jego rodziny pewnie nie chce poznać jego wiedzy, że pragnie ją jej przekazać. W jego wypowiedzi zawiera się sporo informacji i ukrytych znaczeń. Starzec powiedział:

"Dawno temu, gdy byłam małą dziewczynką, musiało się to wydarzyć. Przez cały czas pracowałam na to (informacje i moc jej wykorzystania). Kiedy matka dawała lekarstwa bliżym ludziom, ty jej pomagałaś będąc tłumaczką. Od tego czasu lekarstwa miały być twoje. Pracowałam na nie od bardzo dawna. Zapracowałam na nie. Dziś to się stanie.

To dobrze. Będziesz dawać indiańskie lekarstwa. Ja to robiłam, teraz ty będziesz to robić. Cała moc będzie należała do ciebie. Nie jesteś jeszcze święta, ale te lekarstwa są święte... One przemówią do ciebie. Jeśli ktoś pomyśli o tobie, to znaczy, że chce kupić lekarstwo od ciebie, będziesz o tym wiedziała, zanim przyjdzie do ciebie.



Gdy zjawi się u Ciebie, powiesz mu: 'Będziesz uleczoney'. Jeśli skupisz się mocno na tym, to znaczy tam, gdzie tkwi twoja moc. Będziesz lekarką (medicine woman). Będziesz leczyć choroby. To przyniesie ci zaszczyt, moja wnuczko."

Wpadnięcie w Moc

Choć ci, którzy pragną Mocy często zdobywają ją przez różnego rodzaju wysiłki zaskarżenia sobie względów Mocy, to taka aktywność nie daje gwarancji sukcesu. Jeśli Moc nie jest zainteresowana - nie przychodzi. Wóród Lakotów istnieje tradycja - hanblecheya (poszukiwanie wizji) którą przynajmniej raz w życiu praktykuje większość ludzi, o ile nie wszyscy. Kapryśność tej sytuacji przywołał mi na myśl fragment wiersza Stephana Crane'a:

Powiedział człowiek do Kosmosu
"Panie, ja jestem!"

"Ten fakt - odrzekł Kosmos
nie nakłada jednak na mnie
żadnego obowiązku."

Choć prawdą jest, że wszystkie istoty ludzkie mają obowiązek wiązanej współpracy z Kosmosem, to Kosmos z kolei nie jest w żadnej mierze zobowiązany do odpowiedzi w sposób przyjemny człowiekowi, w ogóle nie jest zobowiązany do odpowiedzi; oczywiście w plemiennym nawiązaniu słowo 'Kosmos' jest niewłaściwe, bardziej odpowiedni byłoby: Wszczęciały, Moce, Różnorodności).

W pewnych tradycjach, przypadkowe zetknięcia się z grupą praktykujących, zaangażowanych w odprawianie określonych rytuałów mistycznych, oznaczają nieświadczym zaciągnięciem się do świętego sto-

warzyszenia. Wymaga to poznania nauk stowarzyszenia, a następnie - w pełnej zależności od niego - uczestnictwa w jego publicznej i prywatnej działalności.

Członkostwo w tych stowarzyszeniach jest zazwyczaj trzymane w tajemnicy (tzn. tyle, na ile to możliwe w ściśle związanych ze sobą społecznościach, co charakteryzuje tubylczą Amerykę), ale uczestnictwo jest obowiązkowe.

Jak mówią starożytni, na świecie świętości nie ma przypadków, wszystko, co jawi się jako możliwe do zdarzenia (w potocznym rozumieniu), uważane jest za "zrządzone" w sensie mistycznym. Przepowiednia, niechętna natura bycia wybranym wyraźnie pokazuje, że jednostka nie może decydować o podjęciu duchowej praktyki, że nikt z szukających, studiujących, modlących się, pracujących, próbujących, żebrzących, targujących się czyli płacących nie zostanie wybrany bez woli istot Nadprzyrodzonych.

To prawda, że duchowo potężni są częściej wybierani, spośród oni wybierają - i raz wybrani, nie mogą odrzucić swej odpowiedzialności bez dotkliwego cierpienia własnego, swoich ukochanych, a nawet całej grupy. Istnieje wiele opowieści o tym jak jednostki weszły w Mistyczne Życie swych ludów - pokazując na ile różnych sposobów człowiek może wstępować na mistyczną ścieżkę, z której nie ma odwrotu.

Jednostka może odkryć, że idzie dobrą drogą dzięki osobistej tragedii, która wrzuca ją w sferę niezwykłości i zdobywa uwagę Duchów. Jednostka albo będzie cierpieć na śmiertelnie chorobę, zapadnie w śpiączkę, zostanie porzucona w dziczy i uprowadzona przez Świętą Istotę, albo po prostu będzie kierowana Głosem "znikąd" - co można by nazwać "Duchowym Wymiarom". Opowieści o wielkich wizjach Sweet Medicine, Handsome Lake'a, Black Elka, Quanaha Parkera i Wovoki poświadczają kapryśną naturę duchowego błogosławieństwa danego śmiertelnym nieświadczym.

Słodkie Lekarstwo (Sweet Medicine), człowiek żyjący dawno temu, zabił członka swej grupy i choć wszyscy zgadzali się, że był to wypadek, został wypędzony zgodnie z Prawem Szejenów. Ludzie skazani na banicję nie mogli szukać schronienia w sąsiednim plemienu, gdyż wypędzono tyłko sprawców poważnych przestępstw i inni nie chcieliby, aby ktoś taki żył wśród

nich. Tak więc Słodkie Lekarstwo żył samotnie w dziczy, powędrował w góry Wichita by tam spędzić resztę życia. Tam został pochwycony przez Istoty Nadprzyrodzone, które przekazały mu swe nauki. Po czterech latach przemian, otrzymał zasady nowej religii (Drogi Życia). Miał powrócić do swych ludzi i pouczyć ich, jak żyć w dobry sposób.

Słodkie Lekarstwo został przyjęty w świętym szałasie (miejsce amnestii dla każdego, kto prosi o spotkanie - nawet dla banitów), gdzie przekazał radzie swe doświadczenia i zadania. Został upoważniony do nauczania ludzi i żył wśród nich przez kilka pokoleń - aż Nauki zostały solidnie zaszczerpione. Kim umarł, przepowiedział nadejście białych. Przesztrzegając swych ludzi, że jeśli zapomną starą drogę i przejmą się obyczajem potajemnie wprowadzone przez przybyszów - zostaną wytepieni jako ludzie.

Ładne Jezioro (Handsome Lake) w latach swej dojrzałości zetknął się blisko z amerykańską Rewolucją. Amerykanie wynuli biedny wniosek, że Irokezi sprzymierzyli się z Anglikami i na tej podstawie zdesiatkowali Seneków, zgodnie z "prawem podboju". Amerykanie spłądowali ich wioski, zniszczyli pola uprawne a ludzi przegнали do puszczy. Biali handlarze przynieśli też "wodę ognistą" aby wpędzić tubylców w nałóg pijactwa, co miało pozbawić ich obrony przed oszustami, agentami rządowymi, spekulatorami ziemi i innymi kanallami. Wielu Indian wpadło w nałóg - Ładne Jezioro był jednym z nich.

Pewnego razu Ładne Jezioro leżał przez dłuższy czas nieprzytomny w śniegu i o mało wyzionął ducha, ale otrzymał wtedy wizję podobną w szczegółach i przejrzystości do tej, jaką miał Słodkie Lekarstwo dużo wcześniej. W jego wizji wystąpiła Święta Istota - "błagotny" człowiek, jak opisał Ładne Jezioro - która przekazała mu nową drogę życia pod zaborem białych. Podobnie jak Słodkie Lekarstwo, on także zaniósł Święte Prawa - Kodeks Handsome Lake'a lub Gaiwalo, jak nazywają to Irokezi - do ludzi, z polecenia Świętych Ludzi, którzy wzięli odpowiedzialność za ich przetrwanie w przeciwieństwie do starych dróg na nowe.

Czarny Łoś (Nicholas Black Elk), podobnie jak Ładne Jezioro żył już w okresie kontaktów z białymi. Jego opowieść

została utrwalona w *Black Elk Speaks* Johna G. Neihartha. Jako mały chłopak, Czarny łódz zapadł nagle na kilka dni w stan apłaczki. W tym czasie został zabrany w "postaci bezcielesnej" do sfery nadprzyrodzonej, gdzie był świadkiem kilku zdarzeń. Zobaczyć się w sposób lakoniczny i ich znaczenie stało się jasne w trakcie jego dalszego życia. Zobaczyć między innymi zagładę swego ludu z rąk białych, zobaczyć że "Krąg Narodów" jest rozzerwany. Widział też cały Krąg, w układzie z wieloma innymi [Kąg oznacza tu wszystkie grupy Szuaków - MM]. Widać tu dotychczas lat jego życia i dalej po jego śmierci. Choć Czarny łódz ubolewał - przed Neiharthem - że osłabł w trudzie odnowienia Kręgu i nie zrobił nic, wielu ludzi wierzy, że jednak nie przegrał. Jego lament był na miejscu, gdyż nadladował *heyokę*, który - jak wielu Tubylczych Amerykanów - nigdy nie modli się z pozycji dostojności i godności, ale postawy uniżenia, gdyż w ten sposób jest jasne dla Mocy, że szamani czy lekarze są mniej niż niczym - biedni, załócni, nie nadający się do niczego, bez charakteru i osiągnięć przed Świętymi Ludźmi. Taką konwencję, taką postawę modlitwy można znaleźć w mistycyzmie na całym świecie.

W konsekwencji swej wielkiej wizji, Czarny łódz otrzymał szamańskie moce różnego rodzaju, łącznie z mocą łosia, dzięki czemu właścicielki kobiety nie mogły mu się oprzeć. W swym życiu miał też do spełnienia duchowe obowiązki. Wojny na Równinach zakończone masakrą grupy Wielkiej Stopy w Wounded Knee w 1890 roku zżawały serca ludzi. A jednak, Istoty Nadprzyrodzone pokazały Czarnemu łosiovi, że ani wielka wizja, ani ich duch nie został zżawany. Święci ludzie pokazali mu wszystkie wzięty i upadki w przestrzeni etulecia. Miektórzy zastanawiają się, czy kilka następnich lat przyniesie końcowe sceny jego wizji - sceny, w których Kręgi Narodów są znówu całe, a ludzie na powrót żyją w sile i pokoju.

Uprowadzenie jako Sposób zdobycia Mocy

Uprowadzenie jest w większości tradycyjnym odmianną "Duchowego Wymiaru" dostępnego dla kobiet. Z niewyjaśnionych powodów kobieta taka jest zwykle niezawężana,

poza społecznością czyli w jakimś sensie bez ochrony. Mityczna opowieść Navahów o uprowadzeniu Kobiety-Węża i Kobiety-Niedźwiedzia, co dało początek systemowi Ścieżek Śpiewu (chantway) Dine (Navahów) - to klasyczny przykład jak uprowadzenie zapewnia kobiecie drogę do zostania Świętą praktykantką.

W czasie bitwy dwóch nagich wojowników wtargnęło do wioski i uprowadziło dwie dziewczyny. Zmierając w kierunku gór, zaprowadzili je pomiędzy ruiny, gdzie spędzili noc odbywając stosunki ze swymi brankami. O świcie, gdy wędze kobiety zbudziły się, zobaczyły jedynie kości - niedźwiedzia i węża - które ucieleśniły się jako Mężczyzna-Niedźwiedź i Mężczyzna-Węzł. Przerażone swym odkryciem kobiety zostają zmuszone do opuszczenia ruin przez te magiczne postaci. Każdy z Mężczyzn bierze swoją brankę i wiezie ją do swej matki, gdzie zostaje ona poddana licznym testom, którym na ogół nie potrafi sprostać (oto sposób nauczania stosowany przez Istoty Nadprzyrodzone). W końcu nadchodzi czas, gdy adeptka zdobywa umiejętności od swej nauczycielki, matki swego Nadprzyrodzonego zdobywcy, i wraca do swych ludzi by dać im ścieżkę śpiewu, jaką ma prawo śpiewać i przekazywać innym. Ścieżka Piękna została przekazana przez Kobietę-Węzł, a Ścieżka Mocy przez Kobietę-Niedźwiedź.

Gdy każda z kobiet przekaze swą wiedzę i płynącą z niej Moc właścicielom ludzi, powraca w góry jako Święta Postać. Jej trwałe obcowanie z Wiedzą i Mocą swych zdobywców jest władnie źródłem mocy, która sprawia, że Ścieżki Śpiewu mogą leczyć. Choć w opowieści tej występują mityczne Istoty Nadprzyrodzone lub ich przedstawiciele wśród ludzi i innych istot to znów reprezentuje ona pogląd, że świat nadprzyrodzony znajduje się za tym naszym, że pewne elementy mają możliwość swobodnego wchodzenia w człowieka by dać mu swe energie aby te z kolei zadziały w kimś innym.

Jak widać więc, gdy osoby z tłumu przebywają w innych sferach - "krainach" czy "światach", jak nazywają je plemienni praktykanci - otrzymują zazwyczaj instrukcje złożone z testów (i niewnikniętych błędów) lub doświadczeń, które rzadko można wyjaśnić w taki sposób, aby ludzie kultury zachodniej byli usatys-

fakcjonowani. Otrzymują oni szczegółowe przepisy, które obowiązują w określonych sytuacjach albo nawet przez całe życie; otrzymują ponadto specjalne zadania do wykonania wśród swych ludzi po powrocie do ziemskiej egzystencji.

Odpowiedzialność za Moc

Pośród ludów plemiennych duchowi praktycy cieszą się wieloma względami, począwszy od szacunku u ludzi demonstrowanego w zaspokajaniu materialnych potrzeb praktyka, aż po lęk czy trwogę. Wymaga to jednak pewnego poświęcenia i wzięcia na siebie dużej odpowiedzialności, co może być przytłaczające, a nawet wyniszczające. Poświadczenie Mocy, która kieruje tobą wymaga zazwyczaj innego stylu życia niż reszta społeczności. Ten wymóg czyni życie trudnym, jeśli nie bolesnym. Essie Parrish powiada, że Wiza nie pozwalała jej zasnąć w nocy. Na pewien czas lub na całe życie zostaje określony rodzaj pożywienia, działań i pokrewieństw. Ograniczenia takie podyktowane są przez tradycje lub przez same Święte Istoty i określone przez naturę Mocy danej postaci oraz wymagania bóstwa czyli ducha, któremu się służy.

Dobra Tarcza i Kobieta Górski Wilk, dwie mądre kobiety z różnych plemion potwierdzają, że musiały powietrzywać się od pewnego rodzaju pożywienia i przestrzegać inne zakazy, jakie nałożyła na nie Moc. Wszyscy praktykujący potwierdzają, że złamanie zakazów ustanowionych przez kierującą Moc zaowocuje nieuchronnie tylko praktykującego, ale również jego bliskich, a nawet całej społeczności.

Ci, którzy zostali wezwani - nawet ci pochyceni przez Istoty Nadprzyrodzone - mają wybór, uzależniony od temperamentu i okoliczności, prawie że "wojnę wolę". Działania, jakie każda osoba podejmuje, decyzje Duchów, przed którymi jest się odpowiedzialnym oraz przymus historii i tradycji może albo popychać praktykujących coraz dalej na Ścieżce Mocy i Piękna, albo też w dowolnym miejscu zepchnąć ich z powrotem w "normalne życie". Mogą przy tym zachować wszystko, co opanowali dzięki Mocy w czasie pobytu w innych krainach lub też wszystko stracić.

Podsumowanie

W całym tym bogactwie tubylczych praktyk duchowych epoczywa wprawiająca w zakłopotanie różnorodność duchowych ścieżek, którymi mogą podążać tubylcy obu Ameryk. A jednak ziemia, nasza matka i wszystkie jej dzieci - nieśmiertelne i nie-ludzkie Istoty i wszystkie inne gatunki (zwierzęta, rośliny, minerały), które również są jej dziećmi i naszymi starszymi rodzeństwem są najważniejsze i wieczne. Żyjemy dzięki Ziemi i jej Siostrze (plejadom) - znanych jednym jako Babcia Zółw, innym jako Babcia Pająk i jej święte siostry - z jej woli pracujemy, modlimy się i poszukujemy. W uznaniu tej fundamentalnej Prawdy, stary Kiowa śpiewał Mocom swą pieśń śmierci. To dobra pieśń, którą udało nam się otrzymać. W zaiian musimy przeżyć każdy dzień, każde wydarzenie, każdy zwrot przeznaczenia i zbiegów okoliczności, upragniony lub nie, kojący lub bolesny, zabawny albo drażliwy, i wszystko co jest pomiędzy, w minimalnej choćby harmonii i bezpośredniości, na jaką jesteśmy podatni. Naszym obowiązkiem - i podstawowym prawem - jest to znieść. W ten sposób my również możemy zaśpiewać w obliczu przejęcia atąd-dotąd: "Cudowna Ziemi, ty będziesz wieczne".

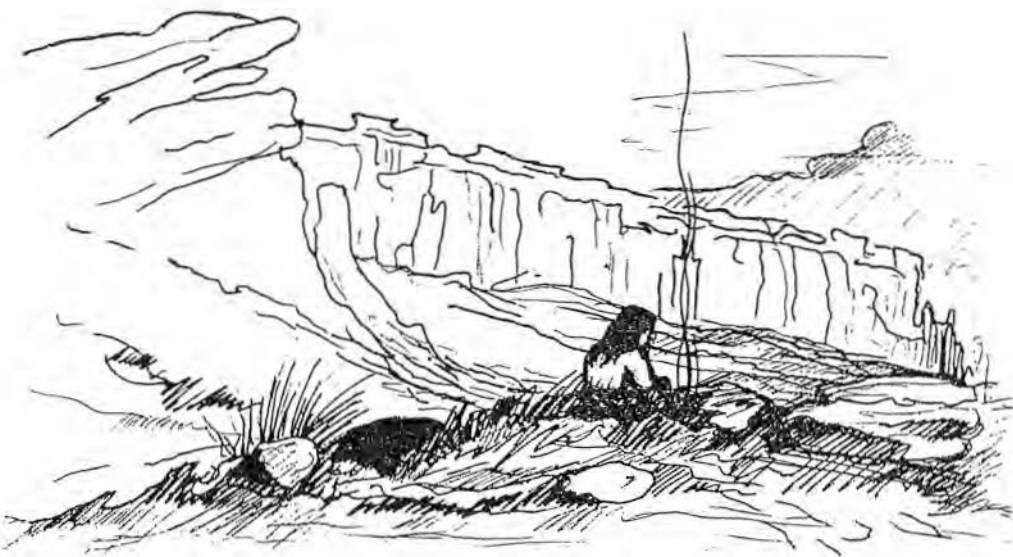
Paula Gunn Allen

Przypisy:

1. Peggy V. Beck i A. L. Walters: *The Sacred Ways of Knowledge, Sources of Life*. Tsale, Navajo Nation Arizona, Navajo Community College Press 1977, s. 101-102.
2. Essie Parrish, zacytowana przez Beck i Waltersa: Op. cit., s. 185, stosuje termin "Stwórca" w znaczeniu "Wzechmocny" lub "Niewidzialny", które występują w innych tradycjach.
3. *Mountain Wolf Women. The Autobiography of Winnebago Indian*. Maudie Oestreigh Lurie, ed. The University of Michigan Press, Ann Arbor 1966, s. 61.
4. Op. cit., s. 61-62.
5. Ib., s. 63-64.

Przetłumaczył Marek Maciołek

Na podstawie: *Shaman's Drum*. Jesień 1988



Leslie Marmon Silko HUMAWEEPI — kapłan wojownik

Tak naprawdę starzec wcale go dużo nie uczył, po prostu razem mieszkali. Humaveepi tylko od czasu do czasu spotykał się z przyjaciółmi, rówieśnikami mieszkającymi jeszcze z rodzinnymi w pueblo. Pytali go co robi, a kiedy im opowiadał, wygiadali na rozczarowanych.

- To znaczy nic nie robisz - mówili.

Pewnego razu zabiła go to i zwierzył się wujkowi.

- Ach, to tylko dowodzi, jak mało wiedza - odparł starzec.

Na czas obrzędów wracali do pueblo. Wujek zatrzymywał się w kłucie razem z innymi kapłanami, zaś Humaveepi przesiadywał zwykle z członkami swego klanu, gdyż rodzice byli starzy, kiedy się urodził i już nie żyli. Czasami, kiedy całe pueblo ogarnięte było żywiołowymi i podniecającymi tańcami albo fiestą, podczas której chrześcijanie wychodzili z pueblo w procesji niosąc święte relikwie, Humaveepi zastanawiał się dlaczego żyje ze starcem na wzgórzach za pueblo. Kiedy miał dwanaście lat wydawało mu się, że wszystko jasne: starzec chciał mieć po prostu kogoś do pomocy przy kozach, rąbaniu drewna czy noszeniu wody. Tam jednak panował spokój. Humaveepi zauważył za to, że przez te wszystkie lata, kiedy wieczorami siedział z wujkiem, poznał pieśni i obrzędowe śpiewy na każdą porę, a teraz zaczynał się uczyć modlitw do drzew, roślin i zwierząt.

- No przecież ja się przez cały czas uczę - uświadomił sobie chłopiec. - Że też wcześniej na to nie wpadłem.

Pewnego razu starzec polecił mu się przygotować do długiej wyprawy.

- Na noc?

Starzec skinął głową.

Humaveepi sięgnął biały bawełniany worek i zaczął ładować do niego suszoną dziczyznę, chleb i suszone jabłka. Na to

starzec potrząsał gniewnie głową. Był koniec czerwca i Humaveepi świadomie nie zabrał kocy. Nauczył się już sypać na ziemi, jak robił to starzec.

- Ludzie są czymś wyjątkowym - powiedział mu wujek któregoś dnia. - Myślą, że niczego nie potrafią, ale przecież mogą sypać na ziemi jak lania i jeleni.

I tak Humaveepi nauczył się odnajdywać w debowych zagajnikach miejsca, w których sypiał jeleni, gdzie suche liście debu służyły za legowisko. Tam spał z wujkiem nawet jesienią, kiedy noce były już ziane i Humaveepi słyszał jak liście odławują się w środku nocy i spływają na ziemię.

Niekiedy zabierali żywność ze sobą, ale częściej wychodzili bez niczego. Kiedy Humaveepi zapytał co będą jedli, starzec zatoczył ręką okrąg na niebie i ziemi. - Jestem człowiekiem, Humaveepi - powiedział. - Jestem wszystko.

W czasie wypraw zbierali korzenie traw i płukali je w płytkich niszach, jakie wiatr wydrążył w skałach, żeby złapać trochę deszczówki. Korzenie miały tłusty, mączny smak. Zostawiali za sobą pułapki i zaczęli się wspinac w krainie megi. Starzec prowadził go do zielonych latorosli zwisających ze szczytów nasłonecznionych ścian piaskowca.

- Dzikie winogrona - powiedział starzec i upuścił kilka drobnych ciemnofioletowych jagód w złożone dżonie Humaveepiego. W gorach znajdowały się też korzenie irysów i cebulki tulipanów wyrastających z koronkowych paproci i zielonej trawy przy strumykach. Wyruszyli zawsze tak samo, latem czy jesienią, wiosną czy zimą - bez różnicy.

- Zimą nie jest łatwo - powiedział starzec. - Wszystkie zwierzęta są głodne, nie tylko ty.

Kiedy więc wujek pokreślił głową na żywność, Humaveepi bez słowa ją zostawił jak zwykle zresztą. Wujek zdjął z gwóźdź na ścianie specjalną skórzaną torbę a Humaveepi wyciągnął spod materaca swoje własne zawiniatko, w którym miał parę przedmiotów: zasuszony kwiat, kruchy i pozółkły, gwiazdki z gładkiego różowego kwarcu, drobne turkusowe paciorki podobne do nieba latem i grot z czarnego obydianu, osty i lśniacy. Miały dla niego szczególne znaczenie, a starzec zalecał mu zbieranie rzeczy o szczegól-

nym znaczeniu.

- Może któregoś dnia zaczniesz z nich czerpać siłę - powiedział.

Szli na zachód ku dalekim zarysom błękitnych gór. Woda w Rio Grande była zawsze zimna. Humaveepi zdawał sobie sprawę, że w butach miał ciągle wilgoć i kiedy wrócił z wyprawy postanowił zrobić sobie sandały, bo buty potrzebowały wielu godzin na wyschnięcie. Wujek nosił stare sandały plecione z włókien jukki, które wysychały natychmiast; nie uznawał ani butów, ani półbutów: "Są nieodpowiednie dla Ciebie" - mówił. Zimą nosił mokasyny z koziej skóry, a kiedy się robiło ciepło - te sandały z jukki.

Cały dzień marszerowali równym krokiem sporadycznie się zatrzymując, kiedy starzec znajdował kwiat, zielenie albo kamień i chciał, żeby Humaveepi to zobaczył. Chłopiec miał wrażenie, że nauczył się już wszystkich nazw i powiedział to wujkowi. Starzec zmarszczył brwi i tracił ewa vedrovna łaska niebieski kwiatek.

- Kapłan musi to wiedzieć - powiedział i szybko ruszył dalej, przenosząc wzrok na kamienie i zarośla.

- Ile masz lat?

- Dziewiętnaście - odpowiedział Humaveepi.

- Uczę Cię od początku życia.

Odtąd szli w milczeniu i Humaveepi zaczął się niepokoić. Nagle zrozumiał, że tym razem miało się coś wydarzyć. W nocy doszli do stromych ścian białego piaskowca u podnóża gór. Znajdowały się tam niewielkie półki skalne z płytkimi piaskoczetymi wnękami. Położyli się spać w piasku pod zwieszoną skałą. Nocą Humaveepi zbudził się, żeby przywołać słowa. Niebo jasniało od gwiazd i półksiężyc. Powiew nocnego powietrza przeszył go chłodem toteż jeszcze mocniej zagrzebał się w piasek.

Rano zbierali soczyste i delikatne pędy roślin pozbawionych już o tej porze twardej łodygi. Pnąc się w górę znajdowali po drodze dzikie latorosla. Starzec odgarnął ze ściółki liście przy pedach i znalazł zasuszone kiście winogron skurczonych w drobne, słodkie rodzyńki. W południe doszli do pierwszego strumienia. Umyli się, napili i odpoczęli.

Starzec zmarszczył brwi i przyglądał się butom Humaveepiego.

- Zdejmij je i zostaw tu aż będziemy

vracac - polecil mu.

Humaveepi zdjal sve kovbojskie buty i schoval pod omszaly glaz przy wielkim debie, zeby adc je potem bez trudu znalezc. Westchnal czujac chlod powietrza na avych gołych stopach. Obserwował wujka, który opierał się o wielką sosnę i drzewał na słońcu. Odkąd pamiętał, włosy starca były długie i siwe, prawie białe, za to twarz zmieniała się i Humaveepi dostrzegł na niej zmęczenie - nie tą krótką wyprawą, ale o wiele dłuższym przebywaniem na świecie. Któregoś dnia on umrze, pomyślał Humaveepi. Odejdzie i będzie zdany wyłącznie na siebie. Będzie musiał robić to, co on. Będzie musiał tego strzec.

Humaveepi nigdy jeszcze nie widział tego jeziora. Pokazało się nagle, gdy tylko doszli do szczytu wzgorza porośnięgo osiką. Humaveepi spojrział na wujka i już chciał zapytać o jezioro, ale starzec spiewał i karmił gorskie wiatry przykiem kukurydzianym ze swej torby. Humaveepi wpatrywał się pilnie w jezioro i słuchał piosenki, które brzmiały niczym burza śnieżna, o tonach miękkich i zimnych jak płatki śniegu; które brzmiały niczym wiosenny deszcz i powrót dzikich kaczek. To słyszał Humaveepi, słyszał głos wujka zamieniający się w nocny wiatr - eilny i wyjący między drzewami. Czas się rozplynał i istniała tylko przestrzeń, glebia i dal jeziora otoczonego górkami wierchożkami.

Kiedy Humaveepi podniósł wzrok znad jeziora zauważył, że słońce zniżyło się już na zachodnim skraju nieba. Rozejrzał się wkoło szukając wujka. Starzec był na dole, kłęcząc przy brzegu jeziora i cicho spiewał dotykając wielki szary kamień. Humaveepi zszedł wąską ścieżką między skałami. Woda w jeziorze była kryształiczna i rzesko jak powietrze. Humaveepi zobaczył, że pływają w niej tęczowozłote petragi. Starzec ekinał na niego, żeby się przybliżył. Wskazał na szary kamień do połowy zanurzony w wodzie. I wtedy Humaveepi zobaczył jego kształt. Niedzwiedz. Magiczna postać gór, potężny aprymierzeniec ludzi. Humaveepi rozpętał sve zwiniaćki i zgarnął drobne paciorki - błękitny turkus i ośmioczerwony koral. Spiewając pieśń niedzwiedzia weszł do lodowatej wody i położył paciorki na głowie niedzwiedzia, ażarej

granitowej skale, spoczywającej nad jeziorem, wpatrzonyj na zachod.

Niedzwiedziu

Spoczywający w górach

Śpiący przy jeziorze

Niedzwiedziu

Przychodzę do ciebie, ja-człowiek

Aby cie prosić:

Stój przy nas w walce

Chodź z nami w czasie pokoju.

Niedzwiedziu

Proszę cie o twoja moc

Jeetem kapłanem-wojownikiem

Proszę cie o twoja moc

Jeetem kapłanem-wojownikiem.

Humaveepi dopiero gdy skonczył spiewać, zrozumiał słowa, jakie wypowiedział. Odwrócił się do starca, który usmiechnął się i pokijał głową. Chłopiec odzyskał uśmiech.

Humaveepi i jego przyjaciel długo milczeli. W końcu Humaveepi rzekł:

- Posłuchaj, co powiedział mi wujek jednej zimy, nim odeszedł. Wyraził mi w gory. Był początek stycznia, ale słońce grzało mocno i tu na dole śnieg już stopniał. Wyeszliśmy wcześniej rano, kiedy niebo na wschodzie było ciemnozarze, a najjasniejsza gwiazda świeciła jeszcze na zachodzie. Pamiętam, że nie założył obrzędowych wokasynów, ale stare sandały z jukki. Spytałem dlaczego.

- Przecież znasz borsuka i wiewiórkę, noszą te same buty latem i zimą.

Mysle jednak, że to sobie uplanował, bo kiedy doszliśmy do scian piaskowca, zegrzebał sandały w płazczyetym dnie jaskini, w której spaliliśmy, a potem ruszył bosą górką ścieżką.

Na zacienionej stronie drzew i wielkich głazów leżał jeszcze śnieg, ale ścieżkę po której szliśmy ogrzewało słońce i była już sucha. Słyszałem jak topi się śnieg i lodowata woda bączy się w doł małych struzkami, zamieniając się w wielki strumień w kanionie, gdzie przez całe lato rosną złote kwiaty, ulubione moje ciało, munnając mnie leciutko, ale i tak oddech tworzył jeazcze kłęby pary na tym mroźnym, górkim powietrzu.

- Czy nie jest ci zimno w nogi? - spytałem.

Przytanał i długo mi się przyglądał, a potem kiwnął przecząco głową.

- Spójrz na te stopy - zagadnął. - czy widzisz jakieś odciski albo guzy?

Zaprzeczyłem.

- To dobrze - ciągnął dalej - moje stopy są piękne. Nikt nie ma takich stop, jak ja, a już na pewno nie ci, którzy noszą buty.

Uszedł parę kroków nim zaczął mówić dalej.

- Widziałeś niemówię, co? - spytał. Przytaknąłem, ale zdziwiłem się, co to miało wspólnego z jego stopami.

- Dobra, a czy zauważyłeś, jak ich babcie i matki ciągle się martwią, żeby miały ciepło w nogi? A widziałeś te dzieci? Czy one też się tym przejmują? Nie! - krzyknął triumfalnie. - One się nie martwią. Bawią się zimą bez butów, bez kaftaników, bo nie czują zima.

Szedł dalej dziarsko, podniecony własnymi słowami, aż przytanał koło strumienia.

- Ale ludzie są tacy, jacy są - stwierdził. - Całkiem niedawno umoviono im, że boją się zima i od tej pory noszą buty.

Cwycił suchą, zakrzywioną gałąź i zaczął odgarniać z brzegu topniejący śnieg.

- Tutaj - powiedział dając mi gruby korzeń. - Spróbuj tutaj.

Przykucałem nad rwacą, skłębioną wodą, w której pełno było błota z gór i kawałków lodu, połakujących na słońcu.

Woda była apieniona i przelewała się z hukiem. Trzymałem korzeń nieruchomo pod nawalem apływającej wody, której lodowate zimno czułem dokładnie i wyraźnie, jak kawałki lodu czepiają się kamieni w srodku strumienia. Kiedy wyjąłem rękę z wody, była sztywna. Potrząsałem nią i uniosłem wysoko ku słońcu.

Starzec zaśmiał się, a w ustach miał pełno mlecznych włókien z korzenia. Poszedł na pagórek, z dala od szumu błotnistego potoku rozlewającego się na osnieżone brzegi. Na szczytach między wielkimi osikami było dużo chłodniej i tu śnieg dopiero zaczynał topnieć.

- Masz zmarznięte stopy - powiedziałem.

Śnieg sięgał mi teraz do kostek, a starzec siedział z półprzymkniętymi oczami na zwałonej osice unosząc stopy do słońca.

- Czy wilkowi marzną łapy? - spytał.

Potrząsałem głową.

- Ho widzisz.

- Ale ty nie jesteś wilkiem - próbowałem go przekonać, a wtedy łśniące oczy starca rozwarły się szeroko i zaczął mi się uważnie przyglądać, wnikliwie, z lekka zezując. Zewył potem przeciągle jak wilk, unosząc przy tym głowę ku zimowemu niebu.

Wszystko było białe - blade niebo, nagie osiki, gładkie i łśniące jak śnieg przymarzniałe do gruntu. Na otaczających nas szczytach rozległo się echem wilcze wycie i odniosłem wrażenie, że z oddali słyszę inny skowyt w odpowiedzi.

przełożył Marek Maciołek



LESLIE MARMON SILKO - poetka, powieściopisarka i wykładowczyni uniwersytecka. Urodziła się w 1948 roku w Albuquerque, zaś wychowywała w Laguna Pueblo - indyjskim rezerwacie w stanie Nowy Meksyk. Opublikowała tomik poezji *Laguna Woman* (1974) oraz powieści *Ceremony* (1977), *Storyteller* (1981) i *Almanac of the Dead* (1991). Opowiadanie zaczerpnięte z antologii *Jamake'a Highwatera Words In The Blood* (A Meridian Book, New York 1984). W Polsce publikowano jej wiersze: "Rader" 1987 nr 6, "Tawacin" wiosna 1986 (nr 2) oraz "1-miesięcznik trochę inny" 1990 nr 1.

WILLIAM OANDASAN

Moje plemię nazywa się UKOMO'UM, ale znane jest bardziej jako YUKI. Od dziecięciu tysięcy lat zamieszkuje ono Round Valley (Okragła Dolina) w łańcuchu Gór Nadbrzeżnych w północnej Kalifornii, ok. 350 km na północ od San Francisco. Plemię Yuki jest jednym z szesnastu plemion tworzących Radę Wspólnoty Indian Coweł. Nasza kultura uważa się często za najstarszą, ciągle istniejącą, w tej części Stanów Zjednoczonych. Nle jeden raz wysłałem z dumą, od jak dawna moi przodkowie żyli w krainie sekwoi (uznawanych za najstarsze drzewa na ziemi), aż zrozumiałem, że są najstarszymi przedstawicielami swych gatunków. I dlatego wolę nazwę Ukono'ua, a nie Yuki, jak nas przeważano.

PIESNI Z OKRAGŁEJ DOLINY to cykl czterech pieśni, składających się z dwunastu 4-wersowych strof, co daje w sumie 48 linijek. Każda strofa i linijka zostały tak napisane, że można je dowolnie przestawiać i tworzyć zupełnie nowe wersze. Niektóre strofy często się powtarzają. Praktyka przestawiania i dekompozycji starych pieśni w celu utworzenia nowych jest charakterystyczna dla tradycji Tubylczych Amerykanów. Pieśń wiersze w taki sposób, aby w proces tworzenia zaangażować zarówno pracę, jak i zabawę.

Gdy pieśń, chce ująć swe przeżycia w zwierz, konkretny obraz, aby forma i treść wzajemnie się uzupełniały, z niewielką - o ile to możliwe - moją ingerencją. Będąc poetą chce wyrazić swe myśli pochodzące stamtąd, gdzie świadomość zlewa się z podświadomością. Jako Tubylczy Amerykanin może w poezji uwiecznić i pogłębić wartości kultury swego plemienia i swę tożsamości. [Z antologii poezji Indiankiej Josepha Bruchaca *Songs From This Earth On Turtle's Back*. Greenfield Review Press. Greenfield Center, N.Y. 1983]

WILLIAM OANDASAN - ur. 1947, poeta, dziennikarz i wydawca pism literackich. Poza publikacjami w antologiach wydał m.in. *Earth and Sky, Taking Off* (1977), *Sermon and Three Wolves*. Przetłumaczone wiersze pochodzą w całości z tomu *Round Valley Verses* (The Blue Cloud Quarterly, Vol. 33, No. 3 1987, Marvin S.D.).

MM

pieśń rodzi
opowieść i taniec
w rytmie tańca
rozlega się opowieść

w głębinie mej krwi
pióro na niebie
piana czystej wody
Tayko-moi!

ku tobie, dziecięciu błękitnej kukurydzy
moje myśli
na miłosną melodię
zeglują po niebie



z serca przez rozum w obraz:
puls czterech kierunków
głos naszej krwi
duch oddechu i słowa

w wylupionej i poszarpanej
plecionce wierzbowego koszyka
głos dawnych czasów
spł marząc o oddechu

w grocie strzały z rogowca i kwarcu
zobaczyłem naszych dziadków
wzdłuż potoku na wschodzie doliny
idących z oszczepem na łosowie i jelenie

STROFY Z OKRAGŁEJ DOLINY

z rzeskich strumieni powietrza noca
nad krzewami manzanity koło cmentarza
słowa zastrygłych warg
burza nam znowu krew

dawno temu czarne niedzwiedzie
spiewały przy ogniskach naszych domów
tej nocy tańczy
ożywione w naszych snach

kobieta o białych włosach
zaledwie szepnęła "Tatu"
ale w moich uszach
echo trzydziestu tysięcy lat

puستا butelka po piwie
rzeżona do rowu w Punkcie Natchmienia
odbija twarze pijanych
zimne jak śnieg

na szczycie Blue Nose
wiatr igra noca wśród długich włosów
i przerywa strumień uśmiechniętych
twarzy Yuki
starych dziesiątki tysięcy lat



na prawie wymarłej ulicy
staruszka popłakuje samotnie
w salonie u Buckhorna
kobyły piją i przytupują

mam oczy zamknięte
i wypatruję snu
ale ponad pola, lasy, góry i obłoki
zegluję na orlim akrzydnie

'młody i krępek wojownika
stworz usho awego umyżu
niech me słowa pomalują wizję
jutra' powiedziała brunatna sowa

drukowane na użytek ludzi:
pieśni starych dróg
słowa zastrygłych warg
duch oddechu i słowa

niech tłusta glina, pióro
i piana, istota naszych dróg
nie będzie popiołem wapownien
na papierze
ale rzeska gorąca woda

Wiersze przetłumaczył Marek Maciołek

SZLAK ZŁAMANYCH TRAKTATÓW

Przed 20 laty Indianie Ameryki Północnej zjednoczyli się w największej tubylczej demonstracji lat siedemdziesiątych. Tysiące Indian z dziesiątków plemion i organizacji powiększały wówczas - lub choćby wspierały - zmierzające przez USA do stolicy Kolumbji tzw. Szlaku Złamanych Traktatów. Ten pokojowy marsz protestacyjny zakończył się niespodziewanie dramatyczną okupacją siedziby Biura do Spraw Indian (BIA) w Waszyngtonie. Jednym z uczestników tamtych wydarzeń był młody wówczas członek Ruchu Indian Amerykańskich (AIM), Leonard Peltier. Oto jak akcję tę - w tym wspomnieniu uwięzionego od 16 lat Leonarda Peltiera - utrzymał w swojej książce "In the Spirit of Crazy Horse" Peter Matthiessen.

"W siedemdziesiątym pierwszym wróciłem do Turtle Mountain, pracowałem tam jakiś czas, aż zwolniłem mnie z pracy przy budowie wyrzutni rakietowych. Hawaii mi smacznik, kiedy wracałem z Grand Forks i nie miałem jak dojechać. Był to jeden z tych finansowanych przez rząd projektów w rezerwach, który wymagał od przedsiębiorcy zatrudnienia określonego procentu Indian. A kiedy tylko ich zatrudniono, zaczynając szukać pretekstu do zwolnienia - spóźnienie do pracy wystarczyć.

W siedemdziesiątym drugim pojechałem z Banksem do Arizony, a później do Hollywood, by szukać poparcia wśród ludzi kina. Nie podobalo mi się w L.A. - przypominało mi dzunglę - i kiedy zjawili się Herb Powless, wróciłem z nim do Milwaukee, by pracować z alkoholikami w wtorekńskiej społeczności Indiankiej." W 1970 r. Herb Powless założył oddział AIM w Milwaukee, a w 1971 r. kierował okupacją przez AIM opuszczonej bazy Strazy Wyrzesa nad wielkimi jeziorami. "Rok później wyruszyliśmy na Szlak Złamanych Traktatów. Był tam też mój kuzyn, Steve Robideau. Był przywódcą w Kolumbji samobobów z Seattle, która prowadził Russell Means, Hank Adams i Sidney Mills, młody przywódca walczą o prawa rybactwa Yakimów."

Tak, jak wielu młodych Indiankich działaczy, Sid Mills był odznaczonym weteranem, ciężko rannym w Wietnamie i rozczarowanym przymusowym udziałem w wojnie białego człowieka z tubylcami. Samozwrotne "zrezygnował" ze służby wojskowej, by poświęcić się całkowicie walce Indian. Na początku października 1972 r. Mills, Means i Adams zwołali w Seattle konferencję prasową aby ogłosić,

ze 20 września w Santa Clara, w Kalifornii zaproszonym został Richard Oakes i by zarządcą ochrony Indian przed coraz częstszymi atakami, powodowanymi odwolywaniem się przez AIM do indyjskich traktatów. Adamsa, Assiniboine-Suksa, rok wcześniej postrzelono w brzuch, gdy współpracował z rybakami na rzece Nequally - policja z Tacoma twierdziła, że postrzelili się sam - a w nadchodzących latach dokonak miało czterech zamachów na życie Russella Meansa.

Morderstwo Richarda Oakesa zjednoczyło różne grupy protestujących Indian i nadało rozmachu marszowi Szlakiem Złamanych Traktatów - po raz pierwszy dyskutowanemu tego lata w rezerwacie Rosebud. Kolumna samobobów z San Francisco, która prowadziła Dennis Banks i Ned Bear Anderson, połączyła się z kolumną z Seattle i innymi. Długa na 4 mile procesja przyszyła do Waszyngtonu w piątkowy ranek 3 listopada, tuż przed dnem wyborów prezydenckich. Oczekiwane w przygotowaniu uczestniczyło siedem innych organizacji Indiankich, to rozgłos w całej Ameryce zyskał tylko AIM - Ruch Indian Amerykańskich. Grupy Indian poinformowały władze o swoich planach, w tym o 20-punktowych propozycjach poprawy stosunków Indian z władzami.

"W naszej religii Odzibwejow istnieje prorocत्व, że pewnego dnia wszyscy stanąemy razem" - powiedział Eddie Benton Banai z AIM. "Wszystkie plemiona obejmą się w braterstwie i zjednoczą. Jestem dumny, że dozyłem tej chwili. Bracia i siostry z całego tego kontynentu zjednoczyli się we wspólnym celu. I to ma dla Indian największe znaczenie - nie to co się stało, lub co jeszcze może się wydarzyć w wyniku naszych działań."

Komisarz Biura do Spraw Indian (BIA), Louis Bruce był Suksem-Mohawkiem i w zasadzie sympatyzował z uczestnikami marszu. Ale otrzymał polecenie od wice-ministra spraw wewnętrznych, Harrisona Loescha, by wstrzymać wszelką pomoc dla demonstrantów. Harrison Loesch, naczelnik Biura Zarządu Ziemi (ELM), które czuwa nad działalnością Biura do Spraw Indian był wysoko ceniony przez prywatnych właścicieli kopalni i tartaków, pożądających publicznych ziem, które znajdowały się pod jego opieką. Rok wcześniej, zatwierdzając dzierzawy ropy i gazu z 89535 akrów ziem Arączów, Loesch zdecydował, że wymagane przez ustawy o ochronie przyrody dokumenty o wpływie na środowisko nie dotyczą terenów Indiankich, "ponieważ nie jest to ziemia publiczna". Podobne rozszerzenia zapadły w sprawie ziem Pueblo Tesuque, Północnych Szejedów i innych, doskonale ilustrując wierzenie Indian, że w nieuniknionym konflikcie między Biurem Zarządu Ziemi i Biurem do Spraw Indian traca zawsze Indianie.

"Byli z nami nasi wodzowie: Frank Fools Crow, Corlile Red Cloud i wielu innych" - wspomina Leonard Peltier. "Starszyźnie obiecano zakwaterowanie, ale kościół, w którym mieli się zatrzymać, był pełen szczurów. Dennis i ja widzieliśmy szcurna przejechanego na ulicy przez samochód! A to byli wodzowie naszego narodu i uważaliśmy, że powinni być traktowani z szacunkiem. Postanowiliśmy więc pojsć do Biura do Spraw Indian i porozmawiać z Luisem Bruce'm, a jeśli odmówiono by naszym wodzom przyzwolonego zakwaterowania, planowaliśmy siedząca demonstracja (sit-in) w budynku aż do skutku. Na pewno nie planowaliśmy żadnej okupacji! Tymczasem, najpierw otoczono nas, a potem, około godz. 18.00 policjanci z oddziałów porządkowych zaczęli napierać na drzwi, usiłując nas wytrącić. Dorwali jednego z naszych chłopców i ciężko go pobili. Było tam z nami wielu młodych ludzi i wtedy straciliśmy nad nimi kontrolę - wpadli w szal i zaczęli wszystkim niszczyć. Ale nie powinieli się ich oskarżać - byliśmy tam, widziałem, jak postępowało z Indianami i jak do tego doszło."

Wraz ze Stanleyem Moorem, młodym Czipewajem z Bad River, Peltier został wybrany do kierowania indyjską służbą

porządkową. "Działalem już od jakiegoś czasu, znano mnie w AIM i ufano mi, więc zwrócono się do mnie. Za pierwszym razem nie zgodziłem się - to było trudne zadanie i duża odpowiedzialność. Ale Russ Means i Carter Camp nalegali, więc wyznaczone mi i Stanleya, czy tego chcieliśmy, czy nie. A po zakonczenu Szlaku wyzwało mnie zawsze, gdy był potrzebny ktoś do służby porządkowej."

Prezydent Richard Nixon podążył śladem Lyndona Johnsona, popierając "samodresienie" Indian (jego stosunkowo dobra administracja utworzyła m.in. zlikwidowane Plemie i rezerwat Menomini oraz zarociła święte Jezioro Blekline lukzilon z Phebila Taos). Później Nixon cofnął się do standardowej polityki republikańskiej, w której dla utrwalenia eksploatacji indyjskiej ziemi posłużyło się nową fasadą "samoznaczności". Ani prezydent, ani wiceprezydent nie znaleźli czasu na to, by spotkać się z niesfortnymi bojownikami. W obliczu zwycięstwa urlików i tamania obietnic uczestnicy marszu zajęli na pięć dni budynek Biura do Spraw Indian, powodując znaczne uszkodzenia sprzętu na skutek prób darykowania się przed oddziałami porządkowymi oraz niszczenia dokumentów.

Jednym z przywódców marszu był Robert Barrette, szef rady plemienniej z rezerwatu Rosebud (autor książki "The Road to Wounded Knee", której obszerne fragmenty zostały przetłumaczone i są dostępne w naszym opisie m.in. u członków redakcji - tłum.). Po zakończeniu przewodniczący rad plemiennych z całego kraju rozsyłali protesty w imieniu "dumnych Indian z rezerwatów", a artykuły redakcyjne w gazetach przypominały szkody wyrządzone podczas okupacji Alcatraz i dzieliły Indian na dobrych i złych.

Sekretarz spraw wewnętrznych Rogers Morton powiedział: "To wstyd, że niewielka, samowolna grupa niezadowolonych chciała zniszczyć siedzibę głównej rządowej instytucji, służącej indyjskiej społeczności". Ale prawdziwym wstydem było, że wśród całej tej zwary i oskarżeń zagubiło się "Dwadzieścia Punktów Szlakii Złamanych Traktatów.

Carter Camp, młody Ponka, kierujący AIM z Oklahomy, poinformował prasę, że właściwe przyjęcie, obiecano przez urzędników z Waszyngtonu pozwoliłoby unowocześnić całą tę konfrontację. "Jednak

sekretarz Loesch z usmiechem powiedział nam, że Biuro nie zajmuje się zakwaterowaniem i zagrożeni, że Kaze nas wyrzuci. Przyszliśmy tu tylko po to, by porozmawiać z urzędnikami Biura - nie było mowy o żadnej okupacji. Ktoś wezwał oddziały porządkowe, a one wybiły parę okien i zaatakowały nas. Gdy tylko nasi indiańscy wojownicy zobaczyli, co się dzieje, to - cóż - po prostu dołożyli im, a potem zabarykadowali drzwi i okna. Większość szkód wyrządziła policja."



Późniejsze doniesienia o płaconiu i wandalizmie sfrustrowanych i rozczulonych Indian, którzy mieli spowodować straty "idące w miliony", sekretarz Morton nazwał "znacznie przesadzonymi". Przewidywał szkodę ponoszącą natomiast reputacja AIM, a gazety zestawiały w niekorzystny sposób postępowanie Indian z "powściągliwym" zachowaniem się policji. Głównym dowodem na to była odmowa wyrażenia zgody przez Nixona na masakrę w przededniu wyborów - ci młodzi Indianie z całą pewnością mieli coś do załatwienia i nie godzili się odejść bez walki. Morton wychwalał dobrą wolę Nixona w stosunku do czerwonych braci, dodając do tego własną "modlitwę, aby wkrótce zasiadł on (Indianin) przy jego stole i był prawdziwie wdzięczny za bogactwa tej ziemi - jego ziemi - naszej ziemi. Pragnę, aby jego serce wypełniała dumą, że jest Amerykaninem, i że dla niego również istnieje Amerykańskie Marzenie."

Jednocześnie rozgniewany i zakłopotany rząd usiłował zdołać całość ten epizod, wypłacając Indianom 66000 \$ na pokrycie kosztów wyjazdu z miasta. Komisarz Biura do Spraw Indian i Jego personel zostali zwolnieni lub zmuszeni do odejścia. Według "białego papieru", wydanego przez departament sprawiedliwości, "Indianini za biurkiem nie wyglądają na obrońców praw obywatelskich. Wyglądają jak właściciel. A kiedy rząd zasygnalizował, że byłby gotów okazać pobłażliwość, gdyby cała ta sprawa została zakończona, AIM i jego zwolennicy szybko wyjechałi". Natomiast Federalne Biuro Śledcze (FBI) bardziej surowo spoglądało na czerwone opaski i odwrócone flagi. Przecież Mac Bear Anderson już w 1958 r. odwiedził Komunistów na Kubie, zaś Sid Mills, Hank Adams i Russell Means byli ponad na wiosnę gośćmi Komunistów z Hanoi. Dla FBI, podobnie jak dla członków prawnicowego John Birch Society, określenie "czerwony jak Indianin" było jak najbardziej na miejscu.

Przy całej tej panicznej mowie o terrorystach i czerwonych, nawet FBI nie wyobrażało sobie, by Indianie z AIM - albo Czarne Pantery, czy nawet niewielka Partia Komunistyczna St. Zjednoczonych - stanowili jakiegokolwiek realne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Chroniono natomiast "Amerykańskie Marzenie", w którym sekretarz spraw wewnętrznych życzył Indianom, by ich serca napełniały się dumą. Chroniono rozdział "System" nadmiernej konsumpcji, odpadów i ogromnych zanieczyszczeń, tak dochodowy dla wielkich korporacji i zgubny dla ludzkości. Dla krótkowzrocznego FBI w Amerykańskim Marzeniu nie było miejsca dla tych niewdzięcznych aborygenów, którzy osmielali się twierdzić, że wszystkie granice państwowe Zachodniej Polkuli, od Alaski po Argentynę, nie mają zupełnie znaczenia, bowiem "Amerykanie" są tak naprawdę Europejczykami, zaś Ameryki, od jednego krańca po drugi, są krajem Indian.

Pierwszy z Indiankich Dwadzieścia Punktów był zadaniem przywrócenia konstytucyjnego prawa Indian do zawierania traktatów, cońietego postanowieniami ustawy o kredytach dla Indian z 1871 r. Kolejne siedem punktów dotyczyło uznania suwerenności indiańskich narodów i przywrócenia mocy obowiązującej traktatom, w tym traktatowi z Fortu Laramie z 1868 r.

Podstawowym postulatem Szlaku było, aby Indian traktowano zgodnie z "naszymi traktatami". Inne punkty dotyczyły takich pokrewnych spraw, jak prawo o reformie terytorialnej oraz odtworzenie bazy ziemskiej, co pozwoliłoby tym Indianom, którzy tego pragnęli, powrócić do tradycyjnego sposobu życia. Z punktu widzenia władz uznano lub negocjowanie rozszerzenia terytorialnych w całym kraju mogłoby się wiązać z koniecznością zwrotu ogromnych obszarów Ameryki Jej Gracjom właścicielom, co rzeczywiście było bardzo niebezpieczną ideą.

Po Szlaku Złamanych Traktatów cofnięto rządowe wsparcie prowadzonym przez AIM szkoleniu przetrwania w St. Paul, Minneapolis i Milwaukee. (Fundusze te przywrócił później sędzia Miles Lord, który uznał, że szkoły te spełniają określone "zapotrzebowanie społeczne".) FBI zaliczyło Ruch Indian Amerykańskich do "organizacji ekstremistycznych", zaś 6 stycznia 1973 r. przywódców Szlaku wciągnięto w Biurze na listę "kluczowych ekstremistów". W styczniu Biały Dom odrzucił Dwadzieścia Punktów Szlaku Złamanych Traktatów jako "krok wstecz... Rząd zawiera traktaty z obcymi narodami, a nie z własnymi obywatelami".

Tymczasem w stan oskarżenia postawiono 32 osoby, ale pomimo ciężkich zarzutów - głównie znacznych kradzieży i podpalen - ani jedna z nich nie została skazana na wschodzie, gdzie opinia publiczna tradycyjnie sprzyjała Indianom. Bezpieczniejsze było ścigać AIM w Dakocie Południowej - biednym stanie, w którym anty-indiańskie uprzedzenia były chroniczne, i w którym można było liczyć na entuzjastyczną współpracę lokalnych polityków i stróżów prawa. Ponadto w grę wchodziły tam istotne interesy ekonomiczne: na czas przedłużających się przesłuchań w sprawie traktatów mogły zostać wstrzymane dzierzawy kopalni uranu w objętych traktatami Czarnych Górach, przynależące do ciębu - jeśli nie w tajemnicy - wielkim koncernom energetycznym.

By ukryć rolę rządu federalnego, w działaniach paraliżujących szkolono oddziały indiańskiej policji BIA. Jednocześnie na Ruchu Indian Amerykańskich skoncentrowano, obejmujący dotąd nurzyńska organizację Czarnych Pantery, tajny program kontrwywiadowczy FBI (tzw. COINTELPRO) i rozpoczęto zorganizowaną akcję "neutralizowania" przywódców AIM.

Przez tydzień od 3 do 9 listopada 1972 r. blisko tysiąc Indian z karawaną zwaną jako Szlak Złamanych Traktatów przebywało w stolicy USA, by przedstawić Dwadzieścia Punktów, pomysłianych jako częściowe rozwiązanie problemów społeczno-indiańskiej. Wydarzenia tego samego tygodnia przybrały rzeczywiste propozycje narwany - podkreślone w Dwadzieściu Punktach i późniejszej dyskusji. Całą uwagę skupiły zniszczenia niektórych dokumentów oraz częściowa dewastacja siedziby Biura do Spraw Indian.

Podczas negocjacji między delegacją Szlaku Złamanych Traktatów i przedstawicielami administracji reprezentacji rządu federalnego obiecali rozwiązać Dwadzieścia Punktów i w ciągu 60 dni przedstawić odpowiedź. 9 stycznia 1973 r. Biały Dom przekazał odpowiedź na Dwadzieścia Punktów, podpisaną przez Leonarda Garmentę i Franka Carlucciego. Była ona dalece nieadekwatna w stosunku do podniesionych kwestii. (...)

Prawdopodobnie żadna grupa Indian nie była bardziej rozczarowana odpowiedzią władz na Dwadzieścia Punktów, niż przywódcy AIM. Uważali oni, że podnieśli ważne kwestie dotyczące traktatów tylko po to, by przekonać się, że administracja uważa kwestie traktatów za nieistotne. Gotując się z wściekłości, ludzie z AIM słubowali nie podać się nigdy więcej, póki nie otrzymają ostatecznej odpowiedzi administracji. Tę nieugiętą postawę zdemontowali następnie w Wounded Knee, zaś poczucie bycia oszukiwanymi, które ogarnęło Indian, gdy przeczytali odpowiedź rządu na Dwadzieścia Punktów, towarzyszyło im jeszcze dłużej, utrudniając zakończenie kryzysu w Wounded Knee.

Vine Deloria, Jr.: "Behind the Trail of Broken Treaties", s. 61-62 (1968)

tlumaczenie: Marek Nowocień

PS. ALEKSANDROWI SUDAKOWI - serdeczne podziękowania za Jego wspaniałe diary w postaci książek, z których wybrałem zamieszczone wyżej fragmenty. mn

Tekst poniższego referatu odczytany został 3 marca 1984 r. w siedzibie Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Etnologicznego w Warszawie, podczas 1 Sesji Popołudniowo-Baukowej Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, poświęconej pamięci Indianki Babcji Stefani Antoniewicz - duchownej, prekursorki polskości przyjaciół Indian, zmarłej 13 grudnia 1982 roku.

Dariusz Jakubiak PRACE KORCZAKA ZIÓŁKOWSKIEGO NAD BUDOWĄ CENTRUM INDIAŃSKIEGO I POMNIKA SZALONEGO KONIA

O, Wielki Duchu, dawco wszelkiego życia,
Byłeś zawsze a przed tobą nie było nic.
Spójrz na Twoje dzieci i uśmiechnij się,
Bo możemy żyć tego dnia dla Ciebie,
Proszę, otaczaj opieką moich krewnych:
czerwonych, czarnych,
białych i brązowych.
Pociesz moje serce i napełnij światłem.
Daj mi moc zrozumienia i oczy,
bym ujrzał ten blask,
Pomóż mi, Wielki Duchu,
do bez Ciebie jestem nikim.

Oto modlitwa Paula War Clouda, która 15 maja 1981 r. otworzyła uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa na stanowiej uczeni Black Hills w Dakocie Południowej. Nagrodę tę otrzymał wielki rzeźbiarz gor, Korczak Ziółkowski, zmarły 20 listopada 1982 roku.

Referat ten jest wyrazem szacunku dla jego osoby, rodziny i Indiankiego programu. Postaci Szalonego Konia i Korczaka Ziółkowskiego powinny być dla nas inspiracją do lepszego życia.

Korczak Ziółkowski urodził się 6 września 1908 roku w Bostonie jako syn Anny i Józefa - drugiego pokolenia polskich emigrantów. Jego rodzice zginęli w tragicznym wypadku podczas podróży promem do Nowego Jorku, gdy Korczak miał trzy lata. Surowe warunki, w jakich wychowywał się w latach młodości zrobiły z niego człowieka o silnym charakterze a wrodzone i nabyte zdolności intelektualne i artystyczne pozwalały mu osiągać wyznaczone sobie ambitne cele.

W 1932 r., po śmierci swojego opiekuna Frederica Cabota, młody artysta zaczął rzeźbić w marmurze, który wkrótce stał się jego ulubionym materiałem. W wieku dwudziestu osmiu lat Korczak Ziółkowski został przyjęty do Amerykańskiego Stowarzyszenia Rzeźbiarzy. Wazny i bogaty w wydarzenia był dla naszego rodaka rok 1939. Wyrzeźbiona przez niego głowa legącego Paderewskiego, która nazwał "Studium Niesmiertelnego", uznana została za najlepsze dzieło wystawione na targach światowych w Nowym Jorku. Wtedy też poznał znanego rzeźbiarza gor - Gutzona Borgluma, pod którego okiem zaczął uczyć się rzeźbić giganty. Razem z nim wziął udział w wyryciu w Gorze Ruszkore w Czarnych Górach (Black Hills) głów czterech prezydentów USA: waszyngtona, Lincolna, Jeffersona i Roosevelta.

Jako tłumacz u Borgluma zatrudniony był też Henry Standing Bear, wódz Lakotów z rezerwatu Pine Ridge. Miał on ogromny wpływ na dalsze losy Korczaka. Podczas powstawania pomnika amerykańskich prezydentów myślał on o złozeniu holda innemu bohaterowi - bohaterowi Indian. Poszukiwał człowieka, który stworzyłby pomnik Szalonego Konia (Crazy Horse'a) - wielkiego człowieka i wodza Lakotów.

Szalony Kon za swa wielkoduszność, mądrość i odwagę był - i jest - jednym z najbardziej szanowanych Indian Równin. Amerykanie, którym zadał ogromną klęskę nad Little Big Horn (26.06.1876 r.), wybijając 7 pułk kawalerii generała Cistera), zamordowali go później w Fort Robinson, około odwoził swa chorą żonę.

Było to 6 września 1877 r. Dokładnie 31 lat później, 6 września 1908 r. urodził się Korczak Ziółkowski. Był to jeden z znaków, które jego pracy nad Indiankim Centrum nadały mistycznego charakteru.

Wielki wódz Lakotów nosił ponoc w uchu kamieniny Kolczyk, a pytany o niego odpowiadał: "powróć do was w kamieniu". W 1939 r. 31-letni Korczak, wędrując po górach z wodzem Standing Bearem, odkrył swe przeznaczenie, poznał historię ludu Lakotów i odkrył wiele cech wspólnych tego Indiankiego narodu z Polakami. Wspólnie z wodzem wybrali górę Thunder-Dead, wznosząca się samotnie w lasach nieopodal Custer, ok. 35 kilometrów od wykutych w skale głów prezydentów USA.

Do Czarnych Gór Korczak Ziółkowski powrócił 3 maja 1947 r. U podnóża Góry Thunderbead rozbił namiot, kupił ziemię i pozostały mu w kieszeni 174 dolary. Z inicjatywy Lakotów i lokalnych władz utworzono Fundację Pamięci Szalonego Konia (Crazy Horse Memorial Foundation), uzyskując poparcie wielu Indiankich i nie-Indiankich organizacji. Za pierwsze uzyskane pieniądze Korczak kupił materiały wybuchowe oraz narzędzia i sprzęt. Rozpoczęła się realizacja projektu.

Pierwsze sześć miesięcy rzeźbiarz spędził w naniocie, prowadząc prace przygotowawcze. 3 maja 1948 roku pod Thunderbead zjechało ponad czterystu Indian, aby uczestniczyć w poświęceniu góry. W barwnej ceremonii u jej podnóża brało udział m.in. pięciu z sześciu (lub - jak podają inne źródła - dziewięciu) żyjących wówczas Indiankich uczestników zwycięstwa nad gen. Custerem. Byli to: 88-letni Comes Again, 90-letni Femmican, 91-letni Iron Hawk, 91-letni High Eagle oraz 93-letni Callous Leg. W południe wódz Standing Bear odpalił pierwszy ładunek dynamitu, wysadzając 10 ton skały.

Przez następne pięć lat Korczak po wybudowanych własnoręcznie 745 schodach wniósł na górę 29 ton drewna. Siedem razy dziennie na własnych plecach przetransportował ciężki ładunek. Wraz z żoną pracował też nad budową domu-pracowni, liczącego obecnie 64 pokoje. Następnym krokiem było wykonanie modelu pomnika w skali 1:34, ustawionego na przylegającym do domu tarasie widokowym.

Rząd USA zaproponował Fundacji Korczaka 20 milionów dolarów na dalsze prace. Rzeźbiarz odmówił, pragnąc wnieść pomnik zupełnie niezależnie. W latach 50. ocenił, że będzie to na potrzeby od 60 do 100 mln dolarów i że ukonczy pomnik w latach 70. Z czasem okazało się, że prognozy te były zbyt optymistyczne, lecz ogrom prac jedynie mobilizował artystę. Obok monumentalnej rzeźby miało też powstać centrum medyczne, kulturalne i oświatowe oraz lotnisko i system dróg.

Pomnik Szalonego Konia będzie największą rzeźbą na świecie. Jego długość wyniesie 195 metrów, a wysokość - 170 metrów. Na szczycie, jako pióro wodza, stanie obelisk o wysokości Urzymsku i pół metra. Od 1956 do 1965 r. Korczak wybudował trzy drogi dojazdowe na górę o łącznej długości 1130 m. W 1965 r., do rzeźbienia głowy Szalonego Konia, zaadaptował na szczycie góry 22-tonową drewnianą platformę na szynach. Wyrobiony gruz spuszczał z góry zainstalowaną kolejką linową lub spychał w przepaść.

W dwa lata po pierwszym, lekkim ataku serca z 1968 r. przyszedł kolejny, poważniejszy atak. W pracach na gorze zastąpił go niemal całkowicie synowie. 7 czerwca 1970 r. nadano Korczakowi tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Fairfield w Connecticut. W 1973 r., dzięki darom zainteresowanych osób, otwarte zostało Muzeum Indian Ameryki Północnej i znacznie wzrosła ilość turystów odwiedzających latem Centrum Korczaka. Wybudowano parking, a z opłaty 4 dolarów od samochodu został zwolnieni wszyscy Indianie. Co roku, od 2 do 6 września organizowane są Dni Otwartego Oczu.

W 1979 r. został zapoczątkowany przez Korczaka program stypendialny dla Indian. Rzeźbiarz obiecał im, że Projekt Pamięci Szalonego Konia będzie projektem humanitarnym, obejmującym Indiankie muzeum, uniwersytet i centrum szkolenia medycznego. Muzeum zostało już otwarte, uniwersytet rozpoczął działalność, gdy rzeźbienie góry zbliży się ku końcowi. Indianki program stypendialny jest - wg. Korczaka - "zdecydowanym krokiem na drodze ku realizacji dalekosiężnych celów edukacyjnych". W ciągu dwóch lat stypendia wyniosły prawie 14 tysięcy dolarów i otrzymało je ponad stu Indian.

W tym samym roku zapoczątkowano wydawanie "Crazy Horse Progress" - pisma informującego o Postępcach Programu, który formalnie obecnie Fundacja Pamięci Szalonego Konia. W 1980 r. w odległości 2 km od pomnika i centrum widokowego Korczak założył osiedle Crazy Horse dla sezonowych pracowników. Wtedy też, na skutek wypadku, po raz szósty od 14 lat doznał przesunięcia dysku. Już w sześć tygodni po operacji powrócił jednak na jeden ze swych wielkich buldożerów.

15 maja 1981 r. otrzymał wspomniany już tytuł doktora honoris causa za swój Program i początkowe postępy. W 1981 r. rozszerzył stypendia na szkoły medyczne i pielęgniarstwa. Otrzymało je 14 osób z rezerwatów Rosebud, Chayezne i Pine Ridge. 6 września 1981 r. w muzeum pokazano 13-centowy znaczek, wykonany według projektu rzeźbiarza. W ten szczególny dzień, w 104 rocznicę śmierci wodza Szalonego Konia oraz 73 rocznicę urodzin Korczaka do Crazy Horse zjechało ok. 250 osób.

Otwierający uroczystość zastępca dyrektora generalnego Poczty USA, Eugene Hagburg powiedział: "Dla moich znajomych jest to czas wyjątkowej nauki o Szalonym Koniu i Oglalach, o ich tradycjach, idealach i filozofii życia. Uznajemy wielką siłę znaczków, ale wierzymy także, że historia Ameryki nie powinna być jedynie historią Amerykanów. Wierzymy również, że wiedza i zrozumienie przeszłości będą nam pomocne w poprawie teraźniejszości i naszym planowaniu przyszłości."

Wystąpili też uczniowie najstarszej szkoły indiańskiej, założonej w 1880 r. w Tablequah na Terytorium Indianiskim i przeniesionej 5 lat później do Muskogee. Lisa Swimer zinterpretowała w języku gestów słowa "Modlitwy Pana". Naczelniczką poczty w Crazy Horse została pani Ruth Ziolkowski, żona Korczaka. Znaczek z portretem wodza okazał się 15 stycznia 1982 r. w nakładzie 382 tysięcy sztuk.

W 1981 r. z góry granitu Korczak wykroił łewo oko konia. Ma ono wielkość dwupiętrowego budynku i wysokość 18 m. Wykorzystał do tego palnik, który wytwarza temperaturę ponad 5000 stopni C. W przyszłości cała powierzchnia rzeźby zostanie wygładzona za pomocą palników, nadając pomnikowi czerwony odcień.

W 34 rocznicę pracy Korczaka w Czarnych Górach ukazała się książka o nim i jego dziele. Zawiera ona odpowiedzi na 12 pytań stawianych najczęściej Korczakowi, 33 strony zdjęć oraz 63 szkiców jego corid, Marinki. Autorem książki jest stary bywalec Crazy Horse, Robb de Wall.

27 lipca 1982 r. 74-letni rzeźbiarz przeszedł piątą operację serca. Do tej pory wydłubał 7 km dróg na górze, 11 km dróg dojazdowych i odstrzeził 7 milionów 200 tysięcy ton granitu. Do pracy używał m.in. dwóch buldożerów, kompresorów, świderów pneumatycznych i dwóch dźwigów. W tym samym roku do malowania konturów jeźdźca i konia użyto tzw. "pajaków", które w wielkich miastach służą do malowania wieżowców. Synowie Korczaka: Adam, Joel i Kazimierz zużyli 450 l farby.

W tym czasie ukończono też Bramę Natury, prowadzącą do Studia Szalonego Konia. Składa się ona z dwóch 3-tonowych ramion. Każde ramię, o wymiarach 14 na 6 metrów, podzielone jest na prostokąty z mosiężnymi sylwetkami 200 ptaków, zwierząt i roślin z Czarnych Gór. Wykonały je córki Korczaka: Monika i Marinka. Zwieńczeniem Bramy Natury są postaci Indianki i Indianina oraz napis: "Idź w cieniu Wielkiego Ducha, a odnajdziesz spokój i szczęście w drodze."

Korczak Ziolkowski zmarł w Crazy Horse 20 października 1982 roku. Na jego pogrzeb przybyło około 1600 osób - m.in. szefowie Fundacji, Joe American Horse - szef rady plemiennej Oglalów z Pine Ridge i 93-letni wódz Lakotów Frank Fools Crow z Kyle, który odgrał tradycyjną ceremonię fajki.

Przy akompaniamencie tradycyjnej piosenki śmierci Indianie Oglala oraz przedstawiciele innych plemion przekazali na ręce pani Ruth, żony Spędającej Gwiazdy - jak nazywali Korczaka - orle pióro z ozdobą symbolizującą cztery kierunki, cztery władzy i kraj życia. W mowie pożegnalnej Robert Fast Horse nazwał Korczaka człowiekiem o wielkim sercu. Korczak Ziolkowski - człowiek legend, wizji i marzeń pochowany został 24 października u podnóża góry w granitowym grobowcu, poświęconym przez Koscioł Katolicki. Dzień 3 maja ogłoszono w Dakocie Południowej "Dniem Korczaka".

Po śmierci Korczaka prace na górze podjęli Mike Caruso i Paul Mebel - specjaliści od materiałów wybuchowych. Pani Ruth ustaliła wraz z dziećmi kolejność dalszych prac, planując ukłócenie głowy konia w ciągu siedmiu lat. Kazimierz powiększył parking, naprawiono Aleję Wodków i utwardzono drogę na tyłach góry. Kolejnych 65 Indian otrzymało stypendia. W ciągu roku usunęto 200 tysięcy ton granitu, co cało łącznie 7 milionów 600 tysięcy ton. W jezycym na wysokości 1900 metrów n.p.m. Crazy Horse wywiercono 15 studnię. Kolekcję indiańskich arcydzieł wzbogaciły kolejne darowizny. Kiedy już ukończony zostanie nowy budynek Muzeum w kształcie bogami Nawabów o średnicy 107 metrów, przeniesie się do niego ponad tysiąc czarnych eksponatów.

Pod koniec 1983 r. rozbudowano biuro Fundacji i wyposażono je w komputer. Jego kierowniczką została Jadwiga Ziolkowska-Schafer, która została także wybrana skarbniczką Fundacji Pamięci Szalonego Konia. W Pałacu Kukurzydzy w miejscowości Mitchell, gdzie prezentuje się dwanaście osobliwych staro Dakota Południowa, wykonanych z kolorowej mozaiki różnych odmian kukurydzy, ułożony z 3500 kolb kukurydzy pomnik Szalonego Konia był atrakcją nr jeden 1984 roku.

W tym samym czasie liczba znaczków z Szalonym Koniem przekroczyła miliard, zaś w Crazy Horse powstały dwa nowe budynki, w tym galeria sztuki Indiankiej. Wystawiane tam przedmioty są dziełami rąk Indiankich artystów z USA i Kanady. Są wśród nich derki Nawabów, ich rysunki płaskowe, biżuteria i lalki oraz wyroby i ceramiki innych plemion. W drugim budynku znajdują się pamiątki po Korczaku, wśród nich m.in. 12 książek o artyście, Szalonym Koniu i jego narodzie.

Dziękując za nadanie mu zaszczytnego tytułu doktora honoris causa w 1981 r., Korczak Ziolkowski powiedział:

"Jest tak: Kiedy umierają legendy, kończą się marzenia. Kiedy kończą się marzenia, to nie ma już nic wielkiego. Boi przyjaciele, nie pozwólcie kończyć się Waszym marzeniom."

Dariusz Jakubiak



Postscriptum:

"Crazy Horse Memorial Project" 1992

Od czasu śmierci Korczaka Ziolkowskiego upłyło już 10 lat, rozpoczęte przez niego gigantyczne dzieło jest kontynuowane. Kierowana przez wdowę po artyście, panią Ruth Ziolkowską Fundacja Pamięci Szalonego Konia (Crazy Horse Memorial Foundation) nie tylko koordynuje prace nad tworzeniem pomnika, ale także rozbudowuje muzeum i centrum oświatowe w Crazy Horse u stop góry Thunderhead oraz funduje stypendia dla Indiankich uczniów i studentów.

Ostatni okres przyniósł zauważalne postępy w pracach nad górą-pomnikiem. Koncentrują się one teraz wokół głowy i wyciągniętego ramienia Szalonego Konia. Jesienią 1992 roku ukończono nos i prawe oko wodza, w kwietniu 1991 r. Szalony Kon po raz pierwszy "spojrzał na Czarne Góry obaj oczu", zaś 5 lipca 1991 r. telewizja CNN pokazała na cały świat detonację, nadającą kształt podbródkowi. Prace przy dziewięciopiętrowym profilu zakończono jesienią ubiegłego roku. W kolejnych miesiącach kontynuowano m.in. usuwanie skał z ramienia oraz wypalano powierzciane twarzy specjalnymi palnikami. Do końca 1991 r. na górze Thunderhead wysadzono łącznie 0,3 mln ton skał.

Idea Dużowy pomnika Szalonego Konia od początku wzbudzała wątpliwości, a nawet protesty. Wątpliwość w możliwość praktycznej realizacji tak ogromnego dzieła. Krytykowano zarówno sam pomysł stawiania pomnika jak i ideę "burtoanikow", jak i artystyczną koncepcję Korczaka.

Z drugiej strony część tradycyjnych Indian sprzeciwiała się pracom na górze Thunderhead jako kolejnej ingerencji w naturalne piękno i świętość Czarnych Gór (zob. wypowiedź Michaela T. Benzella w poprzednim "Tawacinie"). Wyrażano też wątpliwości, czy można odzwierciedlać postać człowieka, który nigdy nie pozwolił się sfotografować, a także czy projekt nie odwraca uwagi od ważniejszych problemów współczesnych Indian.

Korczak i jego zwolennicy przypominali oponentom, że cały projekt jest realizowany na prośbę - i za zgodą - przywódców Lakotów, a obok samej rzeźby-giganta obejmuje szereg praktycznych działań na rzecz indiańskiej tradycji, oświaty i kultury. Pomnik ma być przede wszystkim symbolicznym uhonorowaniem przywódcy oporu Indian a nie realistycznym wyobrażeniem jego postaci (mówienie o "długopisie we włosach" nie uwzględnia skali rzeźby i warunków naturalnych).

Z upływem lat działalność Korczaka i jego Fundacji zdaje się zyskiwać coraz większą sympatię zarówno Indian, jak i większości społeczeństwa. W 1991 roku góra-pomnik została poświęcona czterema duchowymi ceremoniami Indian Lakota, Minnetaree i Shawnee. Dwie tradycyjne ceremonie fajki odprawił - pierwszy raz na szczyście pomnika, a nie u jego stop - duchowy przywódca Lakotów, Charles Chippis, używając do tego historycznej fajki Siedzącego Ojca.

W ubiegłym roku Muzeum Indian Fundacji Pamięci Szalonego Konia, gromadzące ekspozycje pochodzące głównie z darów, otrzymało od anonimowego ofiarodawcy z Illinois kolejną, bezcenną i symboliczną, dar. Jest nim fajka, której właścicielem - wg wiarogodnych źródeł - był niegdyś sam Szalony Kon. Wg dyrektorki Muzeum Indian, Arne Ziolkowski, fajka nigdy nie zostanie wystawiona na widok publiczny. "Fajki, takie jak ta, są przedmiotami świętymi. Zostanie więc złożona w ustronnym miejscu, z dala od ludzi i będzie zawsze przechowywana zgodnie z tradycjami Lakotów. Aby zachować swą moc, fajka powinna być używana. Będzie więc używana, ale jedynie przez lakockich lekarzy i strażników fajki, w szczególnych ceremoniach przy pomniku Szalonego Konia."

W 1978 r. państwo Ziolkowsky rozpoczęli - od 250 \$ - Program Stypendialny Pamięci Szalonego Konia. Dzięki jego funkcjonowaniu około 700 młodych Indian, w większości z 9 rezerwatów Dakoty Południowej, uzyskało stypendia, których wartość w 1991 roku wyniosła 12000 \$, a przez 15 lat przekroczyła 100000 \$. Fundusz stypendialny wzbogacają wpłaty od wielu instytucji i osób prywatnych, a podziału pieniędzy dokonują nie twórcy programu, lecz poszczególne koleje, uniwersytety i szkoły pielęgniarckie.

Mimo upływu dziesięciu lat od śmierci wielkiego twórcy i społecznika, sława pomnika i muzeum Korczaka z roku na rok syci się do centrum turystycznego w Crazy Horse coraz więcej gości ze Stanów Zjednoczonych i świata (choć wstęp wolny mają tylko Indianie). Z rzadka docierają tam także, wędrujący polonijnymi lub indiańskimi ścieżkami, turyści i dziennikarze z Polski. Wzmianki o Korczaku i jego dziele znalazły się w paru książkach (np.: W. Lysiak "Asfaltowy saloon", O. Budrewicz "Orzeł na gwiazdzistym sztandarze") i filmach dokumentalnych. Przed laty poświęcono mu też sporo artykułów prasowych, ale dziś mało kto chyba pamięta brońniętego ołbrzyma z Czarnych Gór, dla którego historie Polaków i amerykańskich Indian łączyło tak wiele.

We wrześniu 1992 r. pani Ruth Ziolkowski zgotowała ciepłe przyjęcie uczestnikom Świętego Biegu z Fairbanks do Santa Fe, a wśród nich - szóstce biegaczy z naszego kraju. Do niewielkiego grona korespondentów w Polsce docierają też od lat listy od rodziny Korczaka, kolejne numery biuletynu "Progress" i inne publikacje Korczakowskiej Fundacji.

Choć na ukończenie prac na górze Thunderhead przyjdzie jeszcze zapewne poczekać wiele lat, to tzw. "Crazy Horse Memorial" już dawno stał się świadectwem niezwykłej siły woli, otwartości umysłu, artystycznego talentu i technicznego geniuszu Korczaka - amerykańskiego twórcy o polskiej duszy i indiańskim sercu.

Marek Nowocień

ADRES DO KORESPONDENCJI:
Crazy Horse Memorial, Ave. of the Chiefs
Crazy Horse, South Dakota 77730-9506
tel. (605) 673-4681, fax: (605) 673-2185

Jacek Piwowski POKOCHAŁEM TYCH LUDZI...

(korespondencja z USA)

Przysięgałem sobie, że nie napiszę następnego listu, póki nie otrzymam następnej wizy. Ale to, że piszę wcale nie znaczy, że ja mam Piszę, bo jest to mój ostatni list z rezerwatu Czarnych Stop (Blackfeet), do i... za trzy dni dołączę w Browning do uczestników Biegu.

I znów tyle się wydarzyło, że głowa boli... Byłem tu ponad dwa miesiące, moje najszczęśliwsze dni życia, czasem pomieszane ze strachem i obawami. Ale od początku: Jak już pisałem, zostałem gościem Jackie Parsons. Już po tygodniu zrozumiałem, że to najbogatniejszy dom w rezerwacie - powierzył mi pół Polski. Dbało o mnie, jak o kryształ z innej planety. Owoce, białe mięso, soki.

Już w pierwszym tygodniu zabrałem się do pracy w ogrodzie. Dziś są tam piękne kwiaty. Następnie pomagałem w rozstawianiu dziewięciu tipi. Te indiańska włoska - z drzewem pogrzebowym, trawois, kompletnym wystrojem wnętrza tipi - wrótce będą mogli podziwiać biegacze. Filmie Blackfeet główne dochody czerpie z handlu kofmi i turystów. Ja włoska to przykład typowego obozowiska Blackfeet, położonego przy Muzeum Indian Prerii (widac je doskonale na "War Party").

Dużo mi się przydarzyło w tak krótkim czasie. Naukę jazdy pick-upem miałem... na prerii. Sztuczery z celownikiem optycznym posiada każdy mężczyzna w rezerwacie. Tyżdzien temu zastrzelono grizzly'ego o 200 kroków od naszego domu. Dzieci, które idą się kąpać do potoku, są w asyście kogoś dorosłego z coltem. Strażnicy z Parku Lodowcowego oceniają, że na terenie rezerwatu jest około 50 ułedźwiedzi plus małuchy.

Miałem masę spotkań z lisem, kojotem, węzłem wodnym, antylopami. Raz zaatakował mnie sokół, innym razem miałem spotkanie "w cztery oczy" ze zwierzątkiem przypominającym mi rosomaka (później rozminiałem o tym z *medicine woman* i odbrze, że mi się nic nie stało - te zwierzęta atakują nawet konie).

Chyba połowę czasu spędzałem na wloczeniu się po prerii - odkrywając raj na ziemi. To najpiękniejszy rezerwat, jaki widziałem. Mnóstwo strumieni, wieczi wiatr, świsły plesków Pteliowych, białe kości w trawie, plora, szalwia resnąca nieraz do kolan i - setki koni, bo Czarna Stopa to przede wszystkim wojownicy i koniarze.

W drugim tygodniu lipca byłem świadkiem czterodniowego święta tzw. "Indian Days" (Indiańskich Dni). Jest to chyba największe zgromadzenie Indian z Ameryki Północnej. Pow-wow z udziałem ponad tysiąca taneczników z wielu plemion. Także są wtedy m.in. współzawodnictwa o wielkie pieniądze, w kilku kategoriach i grupach wiekowych (są między innymi tradycyjny taniec mężczyzny i kobiet, męski taniec trawy, kobiecy taniec szala, męski taniec kostiumowy, kobiecy taniec w sukniach dzwoniących, do tego tance w grupach wiekowych 14 - 18 lat i powyżej oraz tzw. tance międzyplemienne).

Są też wybory Miss Blackfeet, rozdawanie prezentów, nadawanie imion, słowo - szok. Oboz ludzi przyjeżdżających do Montany jest tak wielki, że są setki tipi, służba porządkowa, tysiące osób z Florydy, Arizony, Alaski i dieco - z Europy (Polaków nie spotkałem). Bielety, wśród tak wielkiej rzeszy Indianek nie spotkałem mojej przyszłości, ale nigdy nie zapomnę tych pięknych twarzy indiańskich kobiet.

Innym razem brałem udział w spędzie krwi i byków przez góry do dolin po drugiej stronie. Może to przypominać Bieszczady, lecz to nie to samo. Dwieście sztuk zajelo nam cały dzień - 20 mil przez strumienie, strone zbrocza, krzaczozy, wysoką trawę i kurz. Dla Czarnych Stop to nie praca - to wielkie święto.

10 lipca napisała do mnie Alice Lambert z Biura Świętego Biegu, że policcy biegacze są już na Alasce. Błkt do mnie nie zazwonił (tak jak prosiłem), więc kompletnie nie wiem, kto biegnie...

20 lipca kończy się moja wiza. Powiniennem wrócić do Polski. Od 22 maja nie otrzymałem drugiego przedłużenia wizy. W odpowiedzi na telefon do Lincoln w Nebraska usłyszałem: "Nie martw się o wizę, krótko otrzymasz dokumenty". Dziś minęły dwa tygodnie i czuję, że moje papiery znowu zaginęły: Już nie mam sił. Pewnej nocy zdałem sobie sprawę, że powrót do Polski teraz to dla mnie... krzesło elektryczne. Spędziłem trzy dni z medicine woman, znalazłem orle pióro na prerii i... przestałem się tym zamartwiać. Biegam często przed zachodem słońca. Do drugiej w nocy siedzę przy koralkach, śpię do dziesiątej.

Brałem udział w pięciu szalasach potu (odmiennych od tych, które znałem wcześniej) i w ceremonii zwanej "night lodge" (nocny szalas). Podczas każdej ceremonii byłem jedynym białym.

Odbosnie Karnacji Indian wypada dodać, że dziś nie spotyka się już stu-procentowych Blackfeet. Mój Jackie ma 25 % indyjskiej krwi, jej mąż 20 %, a ich dzieci to typowi skośnooki Indianie. Medicine woman to pół krwi Lakota, ma też krew Czarnych Stop i nieco irlandzkiej.

Zapomniałem dodać, że przy okazji indyjskich dni była ogromna parada. Następnego ranka brałem też udział w indyjskim biegu - wyszliśmy na 3 mile. Zdobylm 4 miejsce i brązowy medal (jest to już mój drugi medal otrzymany od Indian). Zapomniałem też dodać, że ja w pierwszym tygodniu otrzymałem orle pióro za opiekę nad dziećmi.

I to byłoby w skrócie wszystko. Jest wiele spraw, których nawet nie próbuję przelać na papier. Nie wiem, czy tu jeszcze kiedyś wrócę. Tak, jak już pisałem - od pierwszego dnia pokochołem tych ludzi i ten rezerwat. Trudno będzie się rozstać. Jestem spokonwany, dziś rano poczulem, że Święty Bieg jest w Edmonton. W czwartek będę wśród biegaczy.

Dziś, w poniedziałek, spałem w tipi rozbitym przed domem Jackie. Całą noc przy ogniu poświęcałem na śpiewy i... rozmowy z samym sobą.

Serdeczności,

Cichy Maksym

03.08.92, Browning, Montana,
Blackfeet Indian Reservation
(do druku przysłał: Cien)

"Moja futurystyczna poezja, opisująca rezerwat w przyszłości, jest wzięta z obserwacji tysiąca aluminiowych puszek zascielających miejsce po obozowisku North American Indian Days w Montanie."

(z listu Jacka)

Rezerwat

noc za nocą zbliżałem się do celu mej wędrówki, spałem w dzień owinięty w koc nocą wędrowałem w asyście śpiewu kojotów powietrze było ciężkie jak w dzień daleko na barykancie nocne niebo emitowało fosforyzujący parasol zarza polarna ?

szkła lornetki nie zarodziły mi więcej szczegółów

miał już tydzień, odkąd opuściłem Szlak Lodowcowy, posuwając się ku Montanie byłem w ślepiaku snie

coś mnie odurzyło, wiatr prerii przynosił gamę ostrych zapachów zerwałem się na równe nogi piosząc stado białych ptaków z wściekłym wrzaskiem uniosły się tworząc ciemną zakrywającą słońce

już bez lornetki spoglądałem na dzwone świecące w górach

zaciśnalem mocniej dłoń na gorącej kulkie wiodbestera i biegłem jak szalony, po kilku minutach znalazłem się na szczycie płaskowyżu obraz, który widziałem moje oczy nie pozwalał mi już iść dalej

przede mną rozciągnęły się olbrzymie wzniesienia białych puszek

słoneczne światło odbijało się tysiącami błysków, deszcz, słońce, wiatr pozostawiły srebrne aluminiun, puszeki po napojach zascielaly całą dolinę preria w dali była czysta tutaj był cel mojej wędrówki i nagle zrozumiałem - tu był kiedyś rezerwat

Cichy Maksym
(Jacek Piłowski)

20.08.92, Browning, Montana,
Blackfeet Indian Reservation

Zmienia się Indyjska Ameryka

Zmienia się oblicze współczesnej indyjskiej Ameryki; zmienia się taktyka walki Indian o swoje prawa. Wielkie popisowe demonstracje z lat siedemdziesiątych, takich jak okupacja Alcatraz, Szlak Złamanych Traktatów i zajęcie budynku Biura do Spraw Indian w Waszyngtonie czy - najgłośniejsza - Wounded Knee II, odchodzą już do lamusa. Zreszta apelowały one już po części swoje zadanie, jakim było zwrócenie uwagi publicznej na sprawy Indian.

Amerkańscy tubylcy zaczęli się organizować i na drodze sądowej szukać rozwiązania swych problemów. Trafili też do Europy na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych. Od osmiu lat odbywają się także Euro-meetings czyli spotkania europejskich grup poparcia dla Indian z udziałem tubylców obu Ameryk.

Ta zmiana taktyki była konieczna. Zrezygnowano z bardzo spektakularnych, doraznych działań na rzecz pracy perspektywicznej i obejmującej różne dziedziny życia tubylców. Duży nacisk kładzie się na wykształcenie, na świadomość tego, kim się jest; na właściwe podejście do spraw, o jakie się walczy. Takie były główne tematy wystąpień indyjskich mówców - Bobby'ego Castillo, Antonio Gonzaleza (obaj Apacze) i Davida Denomie (Ojibwa) podczas VIII Europejskiego Spotkania Grup Poparcia Tubylczych Amerykanów, jakie odbyło się w dniach 22-25 lipca 1992 roku w Genui we Włoszech.

Rezerwaty starają się fundować stypendia tym, którzy udają się do szkół w mieście. W zamian ci młodzi ludzie wracają do rezerwatów w czasie wakacji by pomagać dzieciom nadgonić materiał szkolny. Po skończeniu nauki mają zapewnione miejsce pracy i mieszkanie w rezerwacie. W ten sposób stwarza się perspektywę rozwoju indyjskiej młodzieży, bo wiadomo, że jeśli ma się gdzie mieszkać i pracować, to pojawia się też chęć pomocy innym.

David Denomie opowiadał też o instytucji pomagającej indyjskim uczniom. Zadaniem tej instytucji są przede wszystkim dotacje do opłat za naukę, pomoc (często finansowa) w nagłych wypadkach, w dojazdach czy przeprowadzkach studen-

tów. Pomoc obejmuje także tych, którzy z jakichś powodów 'wylecieli' ze szkoły. Umieszcza ich się w innych szkołach, mniej zdolni są kierowani do szkół zawodowych. Słowem, robi się wszystko, aby ci ludzie mieli jakieś perspektywy w życiu, by nikt nie odgił ich oszukać tylko dlatego, że nie umieją czytać, czy nie wiedza dokąd się zwrócić w dochodzeniu swych praw. Ważne jest, by Indianie mieli własnych prawników, ekonomistów, nauczycieli itp. Bardzo często interpretacja danego przepisu prawa gubi się zaniem z jakiegoś odległego rezerwatu dotrze do stolicy. Spory nacisk kładzie się również na naukę rodzimych języków w szkołach w rezerwachach.

Podkreślano, że bardzo ważne dla całego ruchu indyjskiego w świecie jest właściwe podejście i rozumienie spraw, o jakie się walczy. Aby pomóc, nie wystarczy dobre chęci - trzeba wiedzieć jak pomóc (dotyczy to także nas w Polsce), co naprawdę jest najlepsze dla Indian.

Wielkim ułatwieniem jest orientacja w specyfice mass mediów; ogólnie wiadomo jak bardzo są one skomercjalizowane. Co zrobić, jak mówić, aby dzięki nim osiągnąć zamierzony efekt, a nie dać sobą manipulować i bawić się wypowiedziami. Błędna interpretacja tego, co chce się powiedzieć często niveczy wysiłki mówcy w dotarciu do słuchacza. Autorom programów i artykułów przeważnie nie zależy na rzetelnym przedstawieniu prawdy (czasami nieprawdopodobnej), a na tym, by program czy artykuł dobrze się sprzedał, tzn. był zabawny i lekki. Dlatego przekreśla się fakty czy też koncentruje się na mniej istotnych szczegółach. By móc z powodzeniem wystąpić przed kamerami - mówił Antonio Gonzalez trzeba zdać sobie sprawę ze się ma na wypowiedź zaledwie kilka sekund i że po naszym wystąpieniu będą mówić jeszcze inni. Dlatego też trzeba mówić krótko i rzeczowo, bo inaczej wypowiedź nie zostanie zauważona. Ideальnym rozwiązaniem byłoby własne mass media. I w tym kierunku powoli postępują współczesni Indianie.

Ten obraz zmieniających się realiów indyjskiej Ameryki wydał mi się najbardziej znaczący w toku omawiania poszczególnych problemów, przed jakimi stoją obecnie amerykańscy tubylcy. Ponadto jest to ważne też dla nas, którzy próbujemy być głosem Indian w tej części Europy.

Anna Dominika

SOCONAS INCOMINDIOS

COMITATO DI SOLIDARIETA CON I POPOLI
NATIVI AMERICANI
KOMITET SOLIDARNOSCI Z TUBYLCZYMI
AMERYKANAMI

SOCONAS INCOMINDIOS to stowarzyszenie którego celem jest dotarcie do wszystkich zainteresowanych kulturami Indian Amerykańskich oraz ich społeczna sytuacja społeczno-polityczna.

"Społeczna sytuacja tubylczych narodów obu Ameryk prowadzi nas do wniosku że ich materialne i duchowe przetrwanie jest zagrożone i dlatego uważamy, że docieranie do europejskiej opinii publicznej jest konieczne."

Co jest naszym celem?

Celem SOCONAS INCOMINDIOS jest - jak to określono w statucie - popularyzowanie wiedzy o kulturze, historii, współczesnych problemach Tubylczych Amerykanów, udzielanie im pomocy oraz promowanie i utrzymywanie kontaktów z Indianami i ich organizacjami.

Jak informujemy ludzi?

Organizujemy pokazy filmów, konferencje oraz spotkania - szczególnie z Tubylczymi Amerykanami, informujemy również poprzez nasz magazyn *TEPEE*. Naszym głównym celem jest dostarczanie najnowszych informacji, umożliwiających ocenę i zrozumienie sytuacji Indian, przeznaczanej często przez mass media. Ponadto na łamach *TEPEE* ukazują się artykuły z następujących dziedzin: legendy, poezja, historia różnych plemion, sposób życia i obrzędy religijne, recenzje oraz wszelkie inne tematy związane z Indianami. Naszym głównym źródłem informacji są narody indyjskie i organizacje *TEPEE* (70-80 stron formatu A4) ukazuje się 2-4 razy do roku. Wydawanie magazynu możliwe jest dzięki dobrowolnym dotacjom. Chętnie opublikujemy tłumaczenia artykułów zagranicznych autorów. Chętnie również wymienimy informacje z innymi grupami poparcia.

Oprac. Wiesław Kołeczek

Adres: SOCONAS INCOMINDIOS c/o Clerici,
cr. Vittorio Emanuele 59
10128 Torino, Italia

Od osmiu lat członkowie europejskich grup poparcia Indian spotykają się na tzw. "Euro-meetingach" - kilkunastowych konferencjach, organizowanych latami w różnych krajach Europy i poświęconych sytuacji społecznych Indian. Biorą w nich udział Indianie obu Ameryk, przyjeżdżający na obrady ONZ albo zapraszani specjalnie na konferencje grup poparcia. Od czterech lat uczestniczą w nich też (na własny koszt) polscy przyjaciele Indian (w tym roku w Genui we Włoszech było sześcioro). W 1993 r. Euro-meeting odbył się w Trondheim, w Norwegii (zainteresowanych prosimy o kontakt z Wiesławem Kołeczkiem, tel. (058 865299), zaś PSPi zgłosiło chęć zorganizowania X Spotkania w 1994 roku w Polsce.

VIII Europejskie Spotkanie
Grup Poparcia Tubylczych Amerykanów
Genua, Włochy, 22-25 lipca 1992

OSWIADCZENIE

Mi, uczestnicy VIII Euro-meetingu, reprezentujący ludzi z 13 krajów Europy, w tym: Austrię, Belgię, Danię, Francję, Holandię, Luksemburg, Norwegię, Polskę, RFN, Szwajcarię, Szwecję, Wielką Brytanię i Włochy, pragniemy wyrazić nasze uczucia w związku z publicznymi informacjami na temat tzw. "odkrycia" Ameryki.

Naszym zdaniem informacje rozpowszechniane w środkach masowego przekazu są często wypaczone. W większości wypadków jest to tylko jedna strona medalu. Bp. Kolumb jest przedstawiany jako bohater i odkrywca Ameryki, podczas gdy nikt nie mówi o skutkach tego tzw. "odkrycia" - zniszczeniu kultur tubylczych, które istniały przed inwazją Kolumba.

Nasz system edukacji opiera się na takich całkowicie wypaczonych faktach. W rezultacie, po 500 latach trwa nadal rasizm i dyskryminowanie mniejszości.

Domagamy się rzetelnej informacji w środkach masowego przekazu, które nie powinny oklamwać ludzi. Świadomemu braku takich informacji, pragniemy wyrazić nasz sprzeciw wobec traktowania przez środki przekazu historycznych faktów. Pragniemy także wyrazić naszą solidarność z walką tubylczych ludów o samookreślenie.

Anna Dominska, Wiesław Kołeczek - Polska
E. Verbeke - Belgia, G. Viender - Włochy

INDIAŃSKI PAŹDZIERNIK 1992

Zanim przyszedł 12 października...

Na ten dzień - i na cały Indyjski Październik - czekaliśmy już od dawna. O planach oficjalnych obchodów 500-lecia tzw. "odkrycia Ameryki" w wielu krajach, o dyskusjach wokół jubileuszu "Spotkania Dwoch Światów" słyszano się już od kilkunastu lat. Stopniowo coraz lepiej wiedzieliśmy o tym, jakie uczucia wśród Indian i ich sympatyków budzi pełne egoistycznej dumy i beztrudnej radości świętowanie "dzieła" Kolumba i jego następców. I coraz więcej dowiadaliśmy się o trwających równolegle - choć bez większego rozgłosu - przygotowaniach do upamiętnienia pięćdziesiąt lat podboju i oporu tubylczych mieszkańców Zachodniej Polski.

Czuliśmy, że do tych przygotowań powinniśmy włączyć się i my - Polscy przyjaciele Indian. Dlatego wsłuchiwaliliśmy się w deklaracje i apele z Ziemi Indian, podpatrywaliśmy (m.in. na Euro-meetingach) zachodnie grupy poparcia Indian, zbieraliśmy pomysły i materiały, ocenialiśmy swe chęci i możliwości.

Juz na ponad rok przed Indyjskim Październikiem usiłowaliśmy nawiązać kontakt z rządem Komisją Obchodów Spotkania Dwoch Światów (która, po paru posiedzeniach i wyjazdach, nie zdziałala niestety zbyt wiele, poza zorganizowaniem "jubileuszowego" koncertu Orkiestry Polskiego Radia). Wcześniej włączyliśmy się też w dyskusje nad wspólnymi działaniami grup poparcia Indian w Europie (także mało owocne, jeśli chodzi o koordynację planów i wymianę informacji).

Wiosną 1991 r. podczas "prekolumbijskiej" wizyty Bobby'ego Castillo, narodził się pomysł organizacji wystawy w warszawskim Muzeum Niepodległości i towarzyszących jej "centralnych" imprez. Choć przemyślały do niej trwały przez cały rok, to ostateczna decyzja podjęliśmy ostatecznie "za pięć omanasta". Równolegle trwały starania o podporządkowanie tradycji naszego uczestnictwa w Indyjskich biegach. Zaowocowało to poznańskim

"Biegiem Solidarności" (27.04), udziałem ekipy białostocko-gdańskiej w "Biegu Dla Ziemi" w RFN (18 - 21.06) oraz wyjazdem sześciu osób na "Święty Bieg" do Ameryki Północnej (lipiec - październik '92).

Nie zabrakło także - choć nie było ich tyle, ile można by oczekiwać - szeregu mało znanych, lecz równie ważnych przedsięwzięć lokalnych i indywidualnych (prelekcje, mniejsze wystawy, koncerty, artykuły w lokalnej prasie, itp.) Z braku miejsca - a często także podstawowych choćby informacji - nie jesteśmy jednak w stanie opisać ich tu bliżej.

Oran potępiony...

Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian swoje skromne siły i środki postanowiło skoncentrować w stolicy - tamże, w Muzeum, w stosunkowo największe możliwości publicznego "zaistnienia". Cykl imprez pod hasłami "Indyjski weekend", "Ostatniego Dnia Wolności Indian" i "Międzynarodowego Dnia Solidarności z Narodami Tubylczymi Ameryki" zaplanowano na dni od 7 do 11 października.

W Muzeum Niepodległości już 22 września otwarto wczasy wystawę pod bułwersującą niektórymi, ale zwracającą uwagę w ogłoszeniach, tytułem "Kolumb, ty Oranie!". Choć formalnie zorganizowały ją wspólnie Muzeum i PSP, to warto podkreślić, iż wiele cennych eksponatów zgodzili się wyjątkowo udostępnić m.in.: Sat-Okn (gl. stroje), Andrzej Peichert (tarcze i grafiki), Tadeusz Piotrowski (obrazy i "panorama" twarzy) oraz Jan i Leon Rzatkowski (gl. ozdoby).

Zwiedzające nadspodziewanie licznie wystawę grupy (głównie młodzież szkolnej) oprowadzali - udzielając obszernych wyjaśnień - znawcy indyjskiej historii i kultury, współtwórcy wystawy i właściciele części eksponatów (m.in. Marek Długosz, Andrzej Peichert, Grazyna Syrowacka i Anna Tomala, którzy poświęcili jej wiele czasu, zdrowia i nerwów).

Sądząc z rozmów i wpisów do Księgi pamiątkowej, wystawa - choć słomna - uznawana była z reguły za "robiącą duże wrażenie" i "niekonwencjonalną". Ogólnie pozytywnej opinii nie psuły drobne "wpadki" w paru - przygotowanych w ostatniej chwili - podpisach, ani trafiające się uwagi części zwiedzających, iż - sądząc po tytule - spodziewali się na wystawie czegoś innego.

(W jednym z licznych wywiadów radiowych Prezes PSPi, Marek Długosz wyjaśnił, iż do uszanowania ogromu zbrodni popełnionych na narodach Indiankich konieczne byłoby zorganizowanie odrebnej, dużo większej wystawy. W Muzeum Niepodległości zgromadzono zaś przede wszystkim te fragmenty kultury Indian, które - choć niszczone od 500 lat - przetrwały, wzbogacając nasz świat.)

Juz od 7 października co wieczor w sali kinowej Muzeum wyświetlano filmy fabularne o tematyce indyjskiej. Tam też największe szanse spotkania się z organizatorami wystawy - i polskimi indyanistami w ogóle - mieli szukający informacji (lub ciekawości - sensacji) i nie zawsze rozumiejący intencje organizatorów dziennikarze prasy, radia i TV.

Stojąc u zamkniętych bram...

W piątkowy rano 9 października ponad 80-osobowa grupa młodych sympatyków Indian zebrała się na Pl. Trzech Krzyży (a właściwie juz wcześniej, na Dworcu Centralnym). Punktualnie o 10.00 w zorganizowanym szyku, z megafonem i transparentami, zgromadzeni przeszli (trasą uzgodnioną z kamerzystami wszechobecnej Polskiej Kroniki Filmowej) pod ambasadę Stanów Zjednoczonych, gdzie oczekiwała już spora grupa dziennikarzy i służb porządkowych. Tam, chociaż manifestacja była legalna, brak zezwolenia na pisanie spowodował dłuższą dyskusję Prezesa PSPi z szefem policyjnej "obstawy".

Zebrany pod ambasadą odczytano tekst omówieniowy "Apelu Polskich Przyjaciół Indian do Prezydenta USA" (zob. s. 34), przygotowanego przez PSPi. Pomimo wcześniejszego zawiadomienia o manifestacji i telefonicznego umówienia się na spotkanie, brama ambasady przez dłuższy czas była zamknięta naглуcho.

Straznik powiedział tylko, że obowiązują tam "stan wyjątkowy", zaś kompetentni pracownicy są "nieuchwytni". W tym czasie plot ambasady został obwieszony transparentami ("Kolumb, Bush... i dosyć już!", "500 lat kolonizacji Ameryki", "Pamiętajcie o Ziemi, której ciałem jesteście", "Wolność dla Leonarda Peltiera", itp.), zaś indyjskie piosenki (z kasety) oraz głos bębna towarzyszyły, oczekującej cierpliwie na jakąś formę cywilizowanego kontaktu, grupie.



Po około pół godzinie drzwi otworzyły się i po krótkich wyjaśnieniach za bramę ambasady wpuszczono trzyosobową delegację z bębna i angielską wersją "Apelu". Przedstawiciel placówki dyplomatycznej Stanów Zjednoczonych przyjął dokument, obiecując przekazać go najwyższemu władzom USA. Uchylił się natomiast od jakiegokolwiek publicznej wypowiedzi lub komentarza na temat "500-lecia", uznając tym samym spotkanie za zakończone.

Złudne urzeczki dyplomacji...

Po wyjściu z ambasady USA i przekazaniu zebranym treści rozmów cała grupa, przy wtórze indyjskiej piosenki, przeszła pod pobliską ambasadę Kanady. Tam, po obrzędowym oczyszczeniu ludzi i otoczenia dymem świętych ziół, odczytano tekst "Odezwy Polskich Przyjaciół Indian do Rządu Kanady" (rozdało także pozostałe okolicznościowe plakaty i "indyjską" gumę do żucia). Zgodnie z umową, o 11.00 pojawił się radca ambasady, B.J. Johnston, zapraszając delegację na rozmowę.

Delegacja przyjechała Indian (Prezes PSPi Marek Długosz, sekretarz Marek Nowocień i strażnik bębna Marek Kabat) przeszła Grobiązgową kontrolę przy wejściu (tym razem stanowczo zabroniono wstąpienia bębna) i na ponad pół godziny zniknęła w głębi "nieprzyjacielskiej" placówki. W tym czasie manifestanci - na prośbę radcy - przeszli pod główną bramę ambasady, Radca zapoznał się pobieżnie z tekstem przedstawionego mu dokumentu, oceniając zawarte w nim pytania jako... zbyt ogólne, zbyt szczegółowe lub nieaktualne. Przekazał też delegacji nieco materiałów propagandowych, nie wykluczając w przyszłości bardziej szczegółowej odpowiedzi na niektóre z postulatów.

Mimo dłuższej rozmowy (wymieniono opinie m.in. na temat postępowania władz Kanady z ludnością tubylczą, oczekiwania polskich przyjaciół Indian w stosunku do ambasady w Warszawie, sposobów obchodzenia 12 października, wkładu Indian i innych narodów w dziedzictwo Kanady, itp.) rozmówcy pozostali przy swoich zdaniach. Nie udało się uzyskać żadnych obietnic co do szerszej prezentacji różnych stron życia kanadyjskich Indian w naszym kraju (USA otwarły nowe Centrum Informacyjne). Opuszczający ambasadę delegacji polskich przyjaciół Indian nie mogli pozbyć się wrażenia, że za kulturalnym przyjęciem, okrągłym zdaniem i "telewizyjnymi" uściskami dłoni kanadyjskich dyplomatów kryją się nadal znane Indianom, Inuitom i Metysom poczucie wyższości, obłuda i pałki policyjne. Amerykanie nie skrywali przynajmniej swego lekceważenia...

"Umówieni" delegaci streszcili ciekawym przebieg rozmów w ambasadzie. Pożegnana piosenka i symboliczny bieg wokół obu placówek zakończyły udane - choć nie wolne od potknięć i laprowizacji - "polityczne" obchody "500-lecia". Mimo braku doświadczenia i kontrowersyjnego charakteru tego rodzaju akcji, jej najważniejsze cele zostały osiągnięte. Część uczestników manifestacji jakoby "z rozpędu" poszła "przyjrzec się" pikiesie w obronie "obdzektora" Romana Galuszki, kilka innych osób pojechało do Polskiego Radia na nagranie audycji o Leonardzie Peltierze, a większość skierowała się do Muzeum Niepodległości, gdzie po południu rozpoczęła się cykl "indyjskich" imprez kulturalnych i popularyzatorskich.

Taniec, światło i słowo...

Niezbędnie licząc na codzienną odwiedzinę Muzeum Niepodległości tym razem od rana przeżywano najazo niecodziennych gości. Koralkowe ozdoby, piana lub koszulki z indyjskimi nadrukami niemal bez wyjątku wyróżniały ludzi "z ruchu". Zapowiedziana na godzinę 16.00 Indyjska Ceremonia Pożegnania Dnia Zgromadzenia wokół tipi przed Muzeum (na każdej "tyczce") także licznymi gośćmi ze stolicy.

Największe zainteresowanie widzów, jak zwykle, budziły występy "najbardziej polskiego z Indian", Sat-Ocha z Gdańska oraz barwnie pokazujący "najbardziej indyjskiej w Polsce" sztunsko-białostockiej grupy tanecznej "Rainbow Moon". Podobnie, jak na wrześniowym otwarciu wystawy (a wcześniej m.in. podczas Indyjskiego Dnia Dziecka w Turku, XVII Zlotu FRPI i "Indyjskiego Tygodnia" w Kaliszu), prezentowali oni tradycyjną kulturę Indian Ameryki Pn., występując nie tylko w Muzeum, ale i w warszawskich szkołach. Na ich współpracy z PSPi Korzystają, jak dotąd, wszyscy zainteresowani. W trakcie występów "Telewizyjny" pokazał poranną manifestację pod ambasadami.

Z kończącymi bogaty w wydarzenia dzień dynamicznymi tańcami "Rainbow Moon" kontrastowała właściwa Ceremonia Pożegnania Dnia. W zapadających ciemnościach, po krótkim wprowadzeniu Ani Felchert, uczestnicznicy Świętego Biegu w Kanadzie, w świetnym kręgu wejściem do Muzeum zapłonęły dziesiątki świec i zniczy. Ten symboliczny Apel Pamięci o ofiarach "500 lat podboju i oporu tubylczych Amerykanów" (jak głosił jeden z transparentów na Dudyńku), a także o naszych przyjaciół i znajomych z Oceanem, był momentem skupienia i refleksji. Był okazją do zastanowienia się nad trwającymi obchodami "500-lecia", nad znaczeniem słowa "przyjaciel Indian" i naszym stosunkiem do indyjskiej historii i współczesności.

Refleksyjne nastroje towarzyszyły także, zorganizowanemu po filmie, wieczorowi Poezji Indyjskiej. Jego zasadniczą część, przygotowaną przez Marka Maciołka, wypełniły klasyczne przekłady współczesnych indyjskich poetów w interpretacji Marka i Jego przyjaciół.

W drugiej części do uczestników spontanicznego "poetyckiego przekładacza", recytującego wymarane na oczekaniu Indianie wiersze i opowiadania dołączali także osoby z widowni. Kolejny raz okazało się, że Indianie poezja, choć często smutna i niełatwa w odbiorze, "sprawdza się" w kontakcie z inteligentną i żywo reagującą publicznością.

Jak wszyscy wiecie...

Tylko niejedno grono najbardziej wytrwałych kinomanów dotrwało do końca nocnego maratonu filmowego. Niewiele też zdobyło się, wzorem Sat-Oma i części władz Stowarzyszenia, na wzięcie udziału w zorganizowanej o świcie Cereemonii Powitania Dnia. Dopiero poranna kawa i zbliżający się początek sesji postawili na nogi spiaczyki spokojnie - w sąsiedztwie wystawy "Zrodzenie MKWU" - kilkudziesięciu Indianistów.

Pierwszą, po kilku latach przerwy, sesję popularno-naukową, zorganizowaną tym razem przez PSPi, rozpoczęła Anna Reichert, z zawodową wprawą referując dotychczasowe ustalenia i przypuszczenia nauki o prekolumbijskich kontaktach "starego" i "nowego" świata. Następnie Marek Maciolek przedstawił Indianiaki punkt widzenia na obchody "500-lecia". Po pokazie filmu "Przerwana Tęcza" Marek Nowocień w - najdłuższym tego dnia - wystąpieniu omówił niektóre aspekty tzw. sprawy Leonarda Peltiera, ilustrując je fragmentami kilku filmów dokumentalnych. Z kolei Wiesław Koleczek podzielił się swoimi uwagami na temat działalności grup poparcia Indian w Europie i planowanego w 1994 r. w Polsce Euromeetingu.

Opowiadający o konfliktach XIX w. Aleksander Sudał nie zawiodł słuchaczy, liczących na kąśliwe uwagi pod adresem "pseudo-znawców" Indianiejskiej historii oraz polemiki z Sat-Om'iem, zaś podsumowująca sesję Pani prof. Ewa Nowicka z naukowym dystansem odniosła się do dobrych i złych stron "spotkania dwóch światów". Stwierdziła ona m.in., że choć dzisiaj Polacy nie mają powodów, by czuć się współwinnymi podboju Ameryki, to działania członków PSPi (którym dedykowała swój podręcznik antropologii) - i Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian - zasługują na uwagę i uznanie.

Rozwijająca się dyskusja musiała, niestety, zostać przerwana przed 16.00. Bowiem duża grupa zaafektowanej młodzieży z aparatami fotograficznymi czekała już na legendarne gawędy "seniora polskich Indianistów" Sat-Oma i występ tancerzy.

...i po świecie

Wieczorem grupa członków PSPi po raz kolejny zastanawiała się, jak poradzić sobie z najrozmaitszymi problemami organizacyjnymi, związanymi ze skomplikowanymi środkami i finansowymi (podział zadań, korespondencja i publikacje PSPi, przyjmowanie i "weryfikacja" członków, współpraca w kraju i zagranicą, robienie imprez, itp.) Do dyskusji zaproszono też młodych sympatyków Indian z Bydgoszczy i Bielska-Białej. Choć die we wszystkich sprawach udało się porozumieć, to duża i szczerą rozmową pozwoliła na ważne wyjaśnienie sobie wielu wątpliwości.

Po kilkudniowym "maratonie" oficjalnych imprez, zajętych dyskusji i prywatnych spotkań, w końcu dały znać o sobie: plynący czas i rosnące zmęczenie. Ostatniej nocy nie było chętnych na oglądanie filmów i taselcowe dyskusje. Biewiele osób pozostało na rozpoczynające się od niedzieli latynskie imprezy w klubie Park, koncerty w Sali Kongresowej i warsztaty w Domu Kultury "Ochota". Mało kto poszedł na poniedziałkową premierę krótkiego filmu o kanadyjskich Indianach Montagnais "Grzmoty beben" i spotkanie z grającą główną rolę Indianką aktorką, która gościła w Polsce). Jak rzucił ktoś pod koniec spotkania - "Raz na 500 lat można w końcu odpocząć." Oczywiście, jeśli się coś robiło...

Marek Nowocień

Zainteresowanych kasetą magnetofonowa z nagraniami wybranych audycji o tematyce Indianiejskiej, nadanych w październiku w radiu i telewizji, proszę o kontakt. W wersji 60 min. kasetą zawiera audycje Kolumb, ty draniu! (o wystawie) oraz "Spotkanie Dwoch Światów" (o Leonardzie Peltierze). W wersji 90 min. są tam też informacje o obchodach "500-lecia" (oraz Nagrodzie Nobla dla Rigoberty Menchu).

Marek Nowocień, ul. Głowackiego 1 B /10, 57-200 Żabkowice Sl.

Apeł Polskich Przyjaciół Indian do Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki

Warszawa, październik 1992

500 lat temu okręty Krzysztofa Kolumba dotarły do brzegów kontynentu zwanego dziś Ameryką. 12 października 1992 r. stał się początkiem kolonizacji ziemi, którą Europejczycy nazwali "dziwką" i "Koronnym Skarbem", a którą miliony jej pierwotnych mieszkańców znali i troskliwie uprawiali od wieków.

Tubylcy powitali biednych i zagubionych białych przybyszy z otwartymi ramionami, dzieląc się z nimi symnością, schronieniem i ziemią. Ale goście często nie szanowali praw i tradycji Pierwszych Amerykanów i dla setek tubylczych ludów nadeszły ciężkie czasy. Następcy Kolumba w obu Amerykach byli coraz potężniejsi i coraz bardziej bezwzględni.

Ponad dwieście lat temu tzw. Wielkie Prawo Pokoju Irańskiej Korfederacji Sześciu Narodów - na równi z postępową myślą europejską - zainspirowało Ojców Demokracji i stworzyło podstawy Konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ale przyrodę nowego potężnego narodu zapomniał wyśrotać o swoich ideałach i złamał swoje najświętsze obietnice. Postanowili oni poświęcić Tubylczych Amerykanów i ich ziemię w imię swoich egoistycznych doktryn i celów.

Sposoby zniszczenia zmieniały się przez wieki, ale chciały i krótkowzrostny sposób myślenia kolonizatorów nie zmienił się do dziś. A świat, choć rozpoczął walkę z kolonializmem i niszczeniem Srodowiska, nie dostrzegając wciąż, że walka Tubylczych Amerykanów o swoją przyszłość i Krok Ziemię jest tej samej natury i nie skończyła się w Wounded Knee.

"Wielkie narody, tak jak wielcy ludzie muszą dotrzymać słowa" - powiedział Prezydent Stanów Zjednoczonych. Ale nie uczynił prawie nic, by zmienić opinię Tubylczych Amerykanów, którzy wciąż podzielają swoje przekonanie Wielkiego wodza Czerwonej Góry: "Uczynili nam wiele obietnic, więcej niż Perwetam, ale dotrzymali tylko jednej. Chcieli zabroć naszą ziemię i zabrali ją".

Dlatego właśnie my, członkowie i sympatycy Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian - podobnie jak Tubylczy Amerykanie i ich sympatycy na całym świecie - gromadzimy się w przeddzień 12 października, Międzynarodowego Dnia Solidarności z Tubylczymi Narodami Ameryki przed Ambasadą Stanów Zjednoczonych.

Pragniemy wyrazić naszą solidarność ze wszystkimi Tubylczymi Amerykanami, którzy walczą o przetrwanie swoich kultur, religii, języków i tradycji. Pragniemy okazać nasze poparcie dla ich walki o swoją bazę ziemską, prawa człowieka i postanowienia traktatów. Pragniemy wyrazić nasz protest i niesmak z powodu tzw. "obchodów odkrycia Ameryki" zarówno w USA, jak i wszędzie indziej.

Tubylczy Amerykanie nie rozumieją, jak ktoś mógł "odkryć" ziemię zamieszkaną od tysięcy lat. Nie mogą pojąć, jak można rościć sobie pretensje do ziemi, która od wieków należała do innych narodów. Nie mogą uwierzyć, że ktoś może "świętować" rocznicę wydarzenia, które spowodowało tak wiele krwi i nieszczęść na całej rodzinie, społeczności i narody. Rozumiemy ich uczucia, podziwiamy ich zdumienie i sprzeciw.

Stany Zjednoczone aspirują do roli produkującego wśród narodów świata. Dlatego tak ważne jest, by wzięły pod uwagę te uczucia i opinie Tubylczych Amerykanów i ich przyjaciół. Chcemy wierzyć, że następne 500 lat nie będą wiekami dalszej kolonizacji i eksploatacji. I chcielibyśmy wiedzieć, co najwyższe władze Stanów Zjednoczonych zamierzają uczynić w tym kierunku.

Kultura i cywilizacja Stanów Zjednoczonych - podobnie jak cały świat - wiele zawdzięczają tubylczym mieszkańcom Zachodniej Polikii i ich ziemi. To zbyt wiele, by zapomnieć - lub wypocząć - ich wielkie tradycje i tragiczną historię. To także zbyt wiele, by lekceważyć ich cenne doświadczenia i ignorować ich słusze dążenia. Zapominamy o Kolumbie - pamiętajmy o Indianach!

Kolumb, ty draniu!

Gdy wiosna otrzymałam od Renka Ball telefon do Muzeum Niepodległości w Warszawie z prośbą, abym zainteresowała się możliwością zorganizowania tam wystawy, powiedziałam "dobrze". Planowany termin wystawy - Jesień '92 - odległy, czasu więc mało... No i zaczęło się. Rozmowy z pracownikami Muzeum były żmudne. Przez cały czas wiadomo było, że i my, i oni chcemy zorganizować "indiańską" wystawę - zmieniała się natomiast cała reszta: koncepcja, tytuł, miejsce, powierzenia wystawowa i czas trwania ekspozycji.

Długo by opisywać najróżniejsze problemy podczas przygotowań. Dzięki pracy kilku osób (Pozdrowienia dla Marii Długosza, Andrzeja Pełcberga i Grazyny Syrowackiej) jakoś udało się doprowadzić do otwarcia wystawy.

Ze względu na niewielką liczbę osób współpracujących przy jej tworzeniu, niewielu udostępniających eksponaty i skromne środki finansowe zarówno PSPI, jak i Muzeum - było to raczej skromne przedsięwzięcie. Pomimo tego wystawa cieszyła się dość dużym powodzeniem, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej.

Opinie na jej temat były zwykle pozytywne, choć zróżnicowane. Od pełnego poparcia dla idei prezentacji kultury Indian i głosów zachwytu nad ekspozycją, przez zdumienie i chwilę zastanowienia nad losami Indian, aż po ostrą krytykę (z reguły w sprawach drugorzędnych). Teraz - po zamknięciu wystawy - sądzę, że była ona nam wszystkim po prostu potrzebna.

Anna Tomala, Warszawa

PROTEST

Akcja protestacyjna rozpoczęła się 13 października 1992 roku o godzinie 15.30 przed Konsulatem Generalnym w Krakowie. Protest był zorganizowany przede wszystkim przez krakowską grupę Federacji Zielonych - to głównie ich zasługa, a ze strony Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian były: Gosia Szparadowska, Magda Lasocka z Gdańska i ja.

W czasie akcji rozdawano przechodniom ulotki (projekt woj, a opracowanie graficzne Diany Mazurkiewicz - PSPI) oraz zbierano podpisy pod petycjami w sprawie Indian Kipi i Navaho, a także prawego uznania Konfederacji Szczęśliwych Narodów Irokeckich.

List protestacyjny, jnki miał być wreczony konsulowi, był tak ostry, że gdy zaczęłam publicznie odczytywać jego polską wersję przed wreczeniem konsulowi, stojąc przed wejściem do konsulatu, to ekipa radioowo-telewizyjna z osrodka TV Krakow po prostu wycofała się w połowie. Najwyraźniej w świetle uciekli. A trochę ludzi przy tym jednak było...

List protestacyjny został następnie wreczony konsulowi przez delegację w składzie: Andrzej Zwała (Zieloni), Robert (?), Goska, Magda i ja (PRPI). Konsul krzywił się nieco na tekst i nie bardzo chciał go przyjąć, ale w końcu musiał i odbiór pokwitował (!) na kopii.

Erвина Papp

OD REDAKCJI: PSPI otrzymało od Krakowskiej Grupy Federacji Zielonych (okr. poczt. 6, 30-104 Kraków 45) komplet informacji o tematyce indyjsko-ekologicznej, opublikowanych do tej pory w piśmie ekologów ZIELONE BRYGADY (ul. Ingardena 3/100, 30-060 Kraków), przygotowanych w większości w współpracy z polskimi indyjskimi, wycinki z prasy krakowskiej na temat pikiet krakowskiego Konsulatu USA oraz kopie petycji w obronie Indian.

- 500 LAT NIEPOROZUMIENI

W dniach od 16 września do 18 października 1992 r. w sali czytelni głównej Biblioteki Publicznej w Szubinie (woj. bydgoskie) można było zwiedzić wystawę "Ameryka Indiańska - 500 lat nieporozumień". Ekspozycja składająca się z różnorodnych eksponatów została podzielona na kilka części. "Zniewolenie tubylczej Ameryki - koniec indiańskiego świata" (stare ryciny, mapy, fotografie) oraz "Indiańskie Odrodzenie" obejmujące:

powrót do kultury (sztuka, literatura, odrębność, współżycie z Ziemią); walkę o życie, walkę o ziemię i, jakby dla przeciwwagi, codzienną (ubóstwo, pijaństwo, agubienie). W części ostatniej zebrane zostały kopie najbardziej charakterystycznych reprezentantów tradycyjnej kultury materialnej rejonu prairii i równin.

Wśród stu kilkudziesięciu zgromadzonych przedmiotów znajdowały się m.in.: czasopiisma rządowe oraz indiańskie, książki tubylczoamerykańskich literatów, mapy rezerwatów, zdjęcia z ceremonii i demonstracji, indiańskie ulotki, rysunki i przewodniki.

W dniu otwarcia wystawy kilkudziesięcioposobowa grupa młodzieży wysłuchała referatu omawiającego najważniejsze aspekty pięciowiekowych kontaktów tubylców z najeźdźcami: od Korteza do koncertów reńskich w Amazonii i od Alcatraz do konferencji w Quito. Prelekcja ubarwiona fragmentami filmów i muzyką wywołała autentyczne zainteresowanie zebranych, które przerodziło się w gorącą, swobodną dyskusję. Całość, w kolejnych dniach, powtórzona została jeszcze dwukrotnie.

Satysfakcją z udanego przedsięwzięcia chciałbym podzielić się z osobami, które okazały mi bezinteresowną pomoc: z Krzysztofem Myszołowem Kączkowskim, Niedźwiadkiem, Rdkiem Nowakowskim i wszystkimi pracownikami Biblioteki Publicznej w Szubinie.

Waldemar Kuligowski

Spotkanie Dwoch Światów

Dzięki staraniom pana Janusza Jaskulskiego Władze Miasta Poznania, Muzeum Narodowe w Poznaniu Oddział Muzeum Instrumentów Muzycznych oraz Polskie Towarzystwo Studiów Latinoamerykanistycznych Oddział w Poznaniu zorganizowały cykl imprez zatytułowanych "500-lecie Odkrycia Ameryki" - Spotkanie Dwoch Światów.

Na program imprez złożyły się:
- wystawy: "Ameryka Indiańska - Spotkanie Dwoch Światów" w Muzeum Etnograficznym (Pamiętnik TAWACIN Nr 2/19); "Instrumenty Muzyczne Indian Amerykańskich" w Muzeum Instrumentów Muzycznych; "Indianie

Hopi. W Duchu Tradycji" w Muzeum Instrumentów Muzycznych (do końca roku); "Śladami Kolumba - O Polakich Podróżnikach i Emigrantach w Ameryce Północnej i Południowej" w Bibliotece Raczyńskich (do końca roku); "Muzyka Amerykańska w Zbiorach Biblioteki Raczyńskich" w Filii Muzycznej Biblioteki Raczyńskich.

- koncerty: "W 500 Rocznice Odkrycia Ameryki", 270 Koncert Poznański w Filharmonii Poznańskiej oraz Koncert Galowy "Ameryka - Muzyka Epoki Konkwisty Okresu Niepodległości" w Muzeum Instrumentów Muzycznych.

- sesje: "500 Lat Ewangelizacji Ameryki - Cienie i Blaski" w Klasztorze OO Dominikanów w Redakcji "W drodze".

- wykłady i spotkania: Mariusza Kairskiego "Indianie Amazonii - Szanse Przetrawiania", Marii Paradowskiej "Od Pamiętników Arciszewskiego po Bestsellerzy Fiedlera", Marka Maciołka "Indianie Ameryki Północnej - Rezerwy i co dalej?", Borysa Małkina "20 lat wśród Indian Ameryki Południowej" oraz Janusza Jaskulskiego "Indiańskie Skrzydła w Polskich Muzeach".

- przeglądy filmowe: "Okrycie Cywilizacji Ameryki" (polskie filmy popularno naukowe) w Muzeum Instrumentów Muzycznych i "Temat indiański na ekranie i w plakatce". Można było obejrzeć także bestsellery filmowe jak:

TARAHUMARA, R: Louis Alcoriza, Meksyk: 1965; W: I. Lopez Tarso, J. Fernandez; Nagroda FIPRESCI na MFF Cannes '65.

WIE NA GWIAZD F DZUNGJI, R: Armando Robles Godoy, Peru 1966; W: I. Quiros, C.E. Miro; Złoty Medal na MFF Moskwa '67.

KREW KONDORA, R: Jorge Sanjines, Boliwia 1969; W: M. Yanalwaya, B. Ruanca; Nagroda na MFF Wenecja '69, Prix Sadoul '69.

TRACEMA, R: Jorge Bondazky, Brazylia 1975; W: E. De Cassia, P. Cesar Pereira; ALPAKALIPA, R: Bernardo Arias, Peru 1975; W: T. Coza, B. Valdivia; Srebrny Medal na MFF Moskwa '75.

11.X.1992 w Muzeum Etnograficznym zorganizowano "Piknik z Krzysztofem Kolumbem". W programie było zwiedzanie wystawy "Ameryka Indiańska - Spotkanie Dwoch Światów" oraz koncert muzyki andyjskiej zespołu Inti Nan, degustacja potraw indiańskich (Joasia) i wykład na temat indiańskiej sztuki dekoracyjnej (Niedźwiadek).

TANTOO CARDINAL

LICZY SIĘ KAŻDY FILM

Czy Tantoo Cardinal potrafią zajrzeć prosto w duży, przynajmniej takie odnosi się wrażenie. Wyczuwa się zapatrzenie w bogactwo wewnętrznego życia i dystans do postrzeganej rzeczywistości. Na jej twarzy rysuje się spokój, pogodna wyrozumiałość i mądrość przyjmowania życia takim, jakie ono jest. Jest dumna i cierpliwa. Świe z niej kobieca dobroć.

Choć dla samej aktorki ważniejsza i bliższa sercu jest rola w filmie *Loyalties* (Lojalność, 1987), to rozgłos przyniósł jej film "Tańczący z Wilkami", w którym zagrała Carną Chustę, żonę Kopiającego Ptaka, rolę kobiety rezolutnej, znającej życie i swoje miejsce w nim. Można oczywiście uważać Kopiającego Ptaka za pantoflarza, zbyt łatwo ulegającego namowom żony łamiącej schematy życia towarzyskiego w plemieniu Siuksów; ale można też dostrzec w tym (ma na myśli skrócenie okresu żałoby Tej Która Stoi Z Pięścią) przykład małżeńskiej jedności i porozumienia, wynikającego z chęci nie utrudniania życia innym.

Tantoo Cardinal wychowywała się w małym osiedlu metyskim na północy prowincji Alberta. Babcią wyposaża ją w dwie wartościowe cechy charakteru: dumę i cierpliwość do wytrwałej pracy i czekania na rezultaty, które w końcu muszą się pojawić. Choć aktorki o podobnym do niej powiązaniu siły oddziaływania i współczucia pojawiają się dość rzadko, to znalezienie ambitnej roli we współczesnym filmie jest trudne. Tantoo uważa, że takie role jak w *Loyalties* (treść w super uproszczeniu: do kraju Indian przybywa cudzoziemiec i napastuje seksualnie tubylcze dziecko; całość jako wielka metafora) trafiają się raz w życiu, a zwłaszcza dla aktorki indiańskiego pochodzenia. Sytuacja nie wygląda może tak tragicznie, gdyż powstają w pełni profesjonalne indiańskie grupy teatralne (np. w Kanadzie: *Native Earth Theatre* Tomsona Highwaya z Toronto, *De-Ba-Jeh-Ku Jig Theatre Group* założona przez Shirley Cheechoo; w USA: *American Indian Dance Theatre* kierowana przez dramaturga Hanaya Geyoganaha), zespoły filmowe i agencje artystyczne.

Obok *Loyalties* i "Tańczącego z Wilkami" Tantoo Cardinal zagrała jeszcze

niewielką rolę w filmie "Czarna Suknia" (*Blackrobe*, 1991) i 5-częściowym serialu dokumentalnym o tubylcach kanadyjskich *As Long As River Flow* (Wopółki rzeki płyną, 1991), w którym jest narratorka.

Obecnie mieszka w Los Angeles, ale żywo interesuje się problemami Indian kanadyjskich.

MM

Redakcja kanadyjskiego czasopisma tubylczego *NATIVEBEAT* (Vol. 1, No 13, wrzesień 1991) przeprowadziła wywiad z aktorką, którego fragmenty zamieszczamy.

NATIVEBEAT: We wstępie do filmu "Dopóki rzeki płyną" powiedziałeś, że kultura i historia są mało ważne do wczucia się w atmosferę serialu. Czy możesz to wyjaśnić?

TANTOO CARDINAL: Po części to efekt wieloletniego prania mózgu tubylcom. W wieku dojrzałym uświadamiasz sobie poczucie małości albo inaczej: co to znaczy być Indianinem, zwłaszcza wtedy, gdy udawaliśmy się do miasta. Dom to jedno, w domu byliśmy tylko my sami, za to w mieście, w Forcie McMurray wystawialiśmy się zewnętrznemu światu, patrzyliśmy i obserwowaliśmy. To wisiało w powietrzu, to poczucie małości, tak myślę.

NATIVEBEAT: Czy dostrzegłaś to w zachowaniu ludzi, czy ty sama czułaś się pomniejszona, czy istniały wreszcie jakieś większe zjawiska społeczne, które wpłynęły na twoje zdanie?

TANTOO: Gdy chodziłam do szkoły, czytaliśmy w podręcznikach, że nasi ludzie są "dzicy i prymitywni".

NATIVEBEAT: Jak sobie z tym radziłaś, jak to przeżywałaś?

TANTOO: To wolny, długotrwały proces. Zaczęło się od zdobycia paru pozytywnych wzorców, gdy poznałam Teda Waltera, nauczyciela w szkole średniej. Zgadaliśmy się, że szkoła stanowi szansę przebicia się. Mówiono tam w języku Kri. Wtedy, gdy wszędzie - w klasie, na korytarzu, na boisku - słyszałam język Kri, nagle coś zrozumiałam. Chciałam nauczyć się lepiej tego języka, bo więcej mówiliśmy po angielsku. W jakimś stopniu to, co

wmawiano nam w szkołach z internater, zakorzeniło się w wyśleniu naszych rodzin, tzn. "że nie jesteś lepszy będąc Indianinem czy mówiąc po indiańsku". Sądzę, że znajomość angielskiego miała bardziej ułatwić życie nam, niż naszym rodzicom.

Gdy więc znowu zaczęłam mówić językiem Kri, z jednej strony był to rodzaj dowartościowania, ale z drugiej - ludzie musieli się nieźle bawić; tak czy inaczej, było to fajne; coś pozytywnego.

NATIVEBEAT: Jaka rolę pełni twoje aktorstwo w procesie odkrywania i akceptacji samej siebie?

TANTOO: Jestem wdzięczna za możliwość występowania, bo za każdym razem, gdy gram, czynię nowe odkrycia. Doświadczam przeżyć innych ludzi i zawsze znajduję się we mnie taka częśćka własnej osobowości, która musi dojść do głosu w takiej właśnie scenie, w takiej właśnie roli. To mnie zaskakuje, naprawdę. Grałam rolę, w których musiałam odwołać się do wrażeń, gdy Indianin po raz pierwszy ujrzał białego człowieka. Takie doświadczenia powrotu i próby wyobrażenia sobie czym to jest, zawsze sprawiają mi radość. Aby jednak dojść do takiej chwili, trzeba przejść to wcześniej.



Gdy dzieje się coś niezwykłego musisz tam być i uświadamiać sobie. Obejmuje to dzieciństwo, dziecięca świadomość aby wzrastać poprzez rozwijanie tych cech w tak różnych środowiskach i chwilach. Ułatwia to poznanie siebie, gdyż stajesz się naprawdę wrażliwy na wszystko, co widzisz, a co odnosi się do roli. Przyposiada mi się file Loyalties i niesamowite uczucie, jakie czułam wobec ludzi. Gra podkreśla to współczucie, gdyż musiałam zaangażować się emocjonalnie bez względu na to, czy taka sytuacja przytrafiła mi się naprawdę czy nie. Sądzę, że byłoby niezmiernie trudno "zagrać" taką rolę.

NATIVEBEAT: Czy zgodzisz się, że z powodu filmów w stylu "Tańczący Z Wilkami" czy "Czarna Suknia" ta część tubylczej historii będzie uważana za najważniejszą epokę życia Indian, zaś współczesność będzie ignorowana?

TANTOO: Nie obawiam się tego. Mam naszych własnych reżyserów i filmowców, którzy kładą duży nacisk na problemy społeczne. Poza tym, nasza historia nie została w pełni zrozumiana i stanowi tę część przeszłości społeczeństwa, jaką ono chce właśnie zignorować. Uważam, że liczy się każdy film, ale musimy je robić z większym zrozumieniem, z większą jasnością i wiedzą niż dotychczas. Tyle rzeczy przeoczano o tych czasach. Krok po kroku musimy określać nasze własne atawizmy. Niestety nie można pójść na całego. Za każdym razem gdy pojawia się okazja, mam taką "listę życzeń" do spełnienia, tzn. co trzeba by powiedzieć, ale będąc aktorką mogę zrobić tylko to, co mogę. Trzeba mieć jednak odwagę i próbować zrobić maksymalnie dużo w kręconej właśnie scenie.

NATIVEBEAT: Czy to oznacza, że chciała-bys się zająć także reżyserią, lub produkcją, aby mieć większą kontrolę nad całością?

TANTOO: Och tak, jak ja bym chciała umieć pisać, jak bym chciała być niezależną finansowo i móc robić artystycznie to, czego pragnę i móc w tym grać i mieć wokół siebie ludzi, których widzę jako swych współpracowników. Chciałabym prowadzić ośrodek kształcenia teatralnego, zatrudniać dobrych nauczycieli. Być może pewnego

dnia powiem: "dobrze, chcę żeby to było tak", ale to oczywiście marzenie. W tej chwili skupiam się na swym aktorstwie, choć próbuję też trochę pisać.

NATIVEBEAT: Czy twoje aktorstwo odgrywa jakąś rolę w zmianie tych negatywnych postaw, z jakimi stykałaś się w dzieciństwie?

TANTOO: Wydaje mi się, że moja gra powinna być prawdziwa, na ile tylko mnie stać. "Prawdziwa" oznacza tu próbę dzielenia się tym, co naprawdę świadczy o miejscu naszego pochodzenia; nie chodzi zaś o grę pod publikę, która często zresztą nic nie wie o Indianach.

Oprac. MM



Kadr z filmu Czarna Suknia

CZARNA SUKNIA

Kanada w roku 1634. Jezuita, ojciec Laforgue (Lothaire Bluteau), swąj przez Indian "Czarną Suknię", wraz z kilkoma Algonkinami pod wodzą Chaminy (August Schellenberg), wyrusza w górę Rzeki Świętego Wawryńsa. Z najdalej na północ wysuniętej misji, w której mieszka się Huronów, od dawna nie ma żadnych wieści. Cała fabuła filmu to podróż przez pokryte lodem i śniegiem bezdroża kanadyjskich puszcz, spotkanie z wrogimi Irokezami i problemy z bardziej przyjaznymi Algonkinami.

Zderzenie dwóch kultur, jest z natury rzeczy tematem dramatycznym. Wielki sukces "Tańczącego Z Wilkami", powstanie wcześniejszej o kilka lat "Misji" Rolanda Joffe dowiodła, że może to być również temat bardzo filmowy, widowiskowy i komercyjny. "Czarna Suknia" (Black Robe) to najnowszy film australijskiego reżysera Bruce'a Beresforda ("Tringe Dwellers", "Wózec pania Daley").

Bardzo łatwo jest, pokazując dwa obce, często wrogie sobie światy sprawiedliwie, bronić, oskarżać, rzucać przesłanie o możliwości porozumienia lub skupiać się na egzotyce i folklorze. Bruce Beresford tego wszystkiego unika. Ani nie przeciwstawia chrześcijańskiej, zachodniej cywilizacji dzikim, okrutnym Indianom, ani nie usiłuje konfrontować bezwzględności duchowych kolonizatorów i prymitywnych, ale żyjących w zgodzie z naturą, azylowych Indian. Jego wizja spotkania żarliwego wyznawcy Pana Boga i dzieci Wielkiego Manitou pozbawia nas sentymentalnych złudzeń: zrozumienie było niemożliwe, zbliznienie mogło być tylko wymuszone gwałtem, a przekonanie, że strony mogły się czegoś od siebie dowiedzieć, należy włożyć między bajki.

Od fanatycznego jezuitę dzielą nas tylko cztery wieki historii, literatura i film nie oszczędziły wysiłków, by przybliżyć nieco europejskiemu widze "zamordowaną" kulturę indiańską - jednak dystans, jaki odczuwamy w stosunku do bo-

haterów jest o wiele większy. Beresford niczego nam nie ułatwia, postaci głównych bohaterów, Laforgue'a i Chaminy są nam równie obce, ich światy - równie hermetyczne, ich myślenie, uczucia i czyny - równie niepojęte. W efekcie próba zrozumienia motywów, jakimi się kierują, wymaga od nas tego samego intelektualnego wysiłku.

Późnojesienne i zimowe krajobrazy Kanady, w jakich kręcono plenery, pełnią rolę całkowicie autonomizującą. A więc rzeka, jedyna możliwość przemieszczania się w dziczyźnie, pozabawiona dróg kraju. Przyjający białe wrogi las, w którym oszaja się niewidzialni wrogowie, i w którym można się ukryć przed wrogiem. Natura jest bowiem również bohaterką tego filmu. Piękno pejzażu jest porażające. W pięknych górskich plenerach rozgrywa się sceny pełne krwi i przemocy, czyniąc z filmu dzieło pełne zarówno poezji, jak i okrucieństwa. Prowadzony przez cały film na dwa głosy monolog dwóch różnych filozofii jest dowodem na niemożność dialogu. Towarzyszący jezuitcie młody Francuz Daniel (Aden Young) młody aspirant do zawodu księdza zakochuje się w Indiance. I jest to romans, w którym spojrzenia znaczą więcej niż słowa.

W kończącej film scenie chrztu, ojciec Laforgue przez moment zdaje się być zwycięzca, do chwili, gdy na ekranie pojawia się napis: "Huronci przyjęli chrześcijaństwo i zrezygnowali ze swych wojennych obyczajów. Nie bronili się więc, gdy opadli ich Irokezi i plemię zostało wymordowane". Laforgue-Chrzesticiel ocalał i wrócił do Quebecu. Czy oszarpal pociechę z faktu, że zamordował Indian z długiej drogi do Krajów Wiozących Łowów i skierował na krótką drogę do nieba? Na to pytanie film już nie odpowiada.

Takie jest spotkanie obu cywilizacji w wersji Bruce'a Beresforda, podobnie jak poprzednicy - Roland Joffe i Kevin Costner - uważa, że budowa pierwszego mostu między cywilizacjami musi się zakończyć klęską.

Czarna Suknia (Black Robe). Kanadyjsko-australijski, 1990, 100 min. Reż: Bruce Beresford; Wyst: Lothaire Bluteau, Aden Young, Sandrine Holt, Tantoo Cardinal, August Schellenberg.

Na podstawie różnych czasopism filmowych opracował Niedźwiedź



INDIAŃSKA KUCHNIA czyli Smakołyki Grubej Moniki

Więcej niż połowa artykułów spożywczych, znanych dzisiaj w Europie, pochodzi z Ameryki. Jest to bardzo ważny wkład w rozwój europejskiej kuchni.

Już tysiące lat przed wyprawą Kolumba do "nowego świata" Indianie Ameryki Północnej zęcznie uprawiali ziemię i przyrządzali dzięki niej pożywienie. Zarówno jednak do tego doszło, mężczyźni poświęcali bardzo dużo czasu tropieniu i zabijaniu dzikiej zwierzyny, by dostarczyć ją swej rodzinie. Kobiety i dzieci przemierzały lasy i równiny w poszukiwaniu roślin jadalnych, by uzupełnić nimi mięsna dietę lub używać jako lekarstwa.

Stopniowo plemiona mieszkające przez długi czas w jednym miejscu lub powracające do tych miejsc następnego roku, od-

krywały jadalne rośliny wyrosłe z nasion znajdujących się w wyrzuconych wcześniej resztkach.

Zrozumienie i rozwój uprawy roślin jadalnych trwał przez wiele pokoleń. Dzięki stałemu uszlachetnianiu różnych odmian i ciągłemu rozwijaniu nowych możemy dzisiaj je spożywać i zachwycać się ich smakiem.

Na stronie obok podaję pięć współczesnych przepisów na potrawy, które dzisiaj spożywane są w niejednym indiańskim domu. Staralam się wybrać takie, by możliwe były do zrealizowania w naszych warunkach. Szczególnie polecam pieczone ogórki. W następnym odcinku coś dla miłośnych.

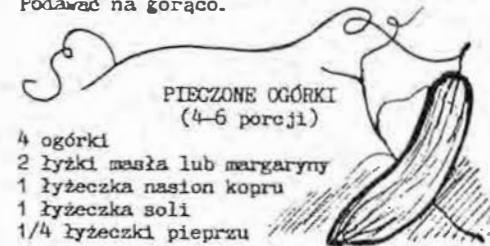


GOTOWANY GROSZEK (4-6 porcji)

Uwaga: potrawa ta wymaga dwóch miesięcy przygotowania.

1/2 kg zielonego groszku w strąkach
20 dkg solonej wieprzowiny
2 litry wody
2 łyżeczki soli
1/8 łyżeczki pieprzu

Groszek umyć i odciąć końcówki. Nawlec na mocną nić i wywiesić na słonecznym miejscu do wysuszenia na około dwa miesiące. Po upływie tego czasu zamoczyć w 2 litrach wody na około godzinę. Dodać pokrojoną w kostkę wieprzowinę, pieprz i sól i zagotować. Gotować na wolnym ogniu przez 3 godziny, od czasu do czasu powoli mieszając. Można dolać jeszcze trochę wody, ale nie jest to konieczne. Dobrze jest dodać dużo warzyw i bulionu. Wspaniałym dodatkiem jest też kukurydza. Podawać na gorąco.



PIECZONE OGÓRKI (4-6 porcji)

4 ogórki
2 łyżki masła lub margaryny
1 łyżeczka nasion kopru
1 łyżeczka soli
1/4 łyżeczki pieprzu

Warstwę obranych i pokrojonych wzdłuż ogórków położyć na dnie dużego naczynia do pieczenia. Podać je jedną łyżką roztopionego masła lub margaryny. Nasiona kopru pokruszyć i wymieszać z pieprzem i solą. Połową wymieszanych przypraw posypać wyłożone ogórki. Na to wszystko położyć drugą warstwę pozostałych ogórków i tak jak wcześniej posypać roztopionym masłem lub margaryną, posypując pozostałymi przyprawami. Piec bez przykrycia w temperaturze 250°C przez pół godziny. Delikatnie wymieszać starając się spodnią warstwę ogórków przełożyć na wierzch i piec następne pół godziny. Podawać gorące.

SŁODKIE CIASTEČKA Z BATATÓW (10-12 porcji)

4 duże bataty
3 jajka
1/2 lub 1 łyżeczka soli
1/8 łyżeczki pieprzu
1 łyżka oleju jadalnego



Bataty gotować tak długo by zmiękły. Obrab je ze skórki i słuć na papkę. Wymieszać ją z jajkami, solą i pieprzem, tak by powstało rzadkie ciasto. Rozgrzać olej na patelni i wrzucić dużą łyżkę przygotowanego ciasta. Usmażyć je na brązowo z dwóch stron. Przy odwracaniu na drugą stronę spłaszczyć je lekko łyżką. Jeśli trzeba, przed następnym pieczeniem dolać oleju. Podawać gorące z masłem lub miodem.

PIECZONE BATATY (4 porcje)

8 batatów
1 szklanka obranych dowolnych orzechów
3 szklanki wody
cukier do smaku

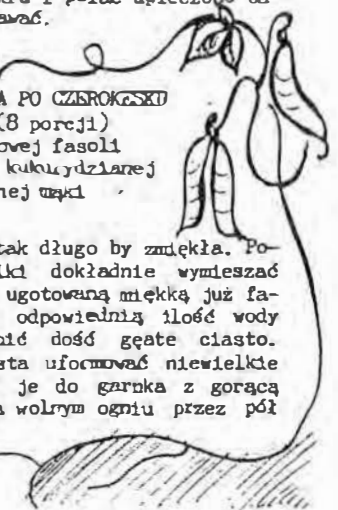


Rozbić obrane orzechy na miazgę, tak by powstało coś w rodzaju masła. Uformować z tego małe kulki i włożyć do lodówki. Następnego dnia upiec 8 batatów na mlekko. Obrab ze skórki i włożyć do naczynia, w którym będziemy podawać. Kulczki z orzechów położyć na sito i włożyć je do innego naczynia, polewając 3 szklankami gorącej wody. Kulki miazgać tak długo, aż dokładnie się rozpuszczą. Dodać do smaku cukru i posłać upieczone bataty. Można podawać.

FASOLA PO CZEROKESKU (8 porcji)

2 szklanki brązowej fasoli
4 szklanki mąki kukurydzianej
1/4 szklanki innej mąki
1 łyżeczka sody

Gotować fasolę tak długo by zmiękła. Pozostałe składniki dokładnie wymieszać i dodać do nich ugotowaną miękką już fasolę. Dolewając odpowiednią ilość wody po fasoli zrobić dość gęste ciasto. Z kawałków ciasta uformować niewielkie kulki i wrzucić je do garnka z gorącą wodą. Gotować na wolnym ogniu przez pół godziny.



MOKASYNY

Wygodne i lekkie mokasyny Indian Ameryki Północnej były pierwszym elementem indiańskiego ubioru, który przyjęli biali i ostatni, jaki na rzecz europejskiego ubioru zarzucili Indianie.

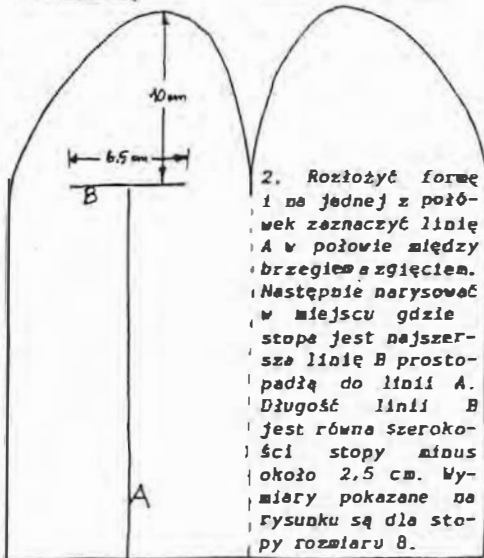
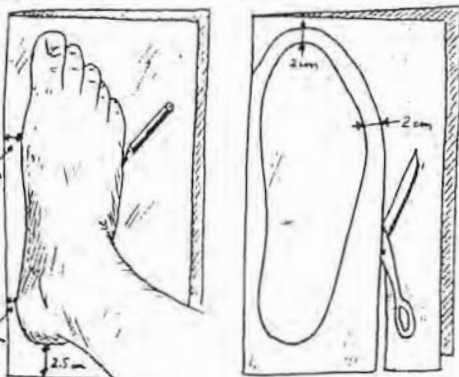
Kiedy podróżnicy i osadnicy rozpoczęli inwazję na indiańskie lasy, wzgórze i rzeki, odkryli wkrótce, że ich ciężkie buty z twardymi podszewkami nie są odpowiednie do chodzenia po śliskich skałach i zwalonych drzewach. Nie nadają się też do długich wędrówek. Kiedy nawilżały, stawały się ciężkie, a niemożliwe było wysuszenie ich w nocy. Suszenie na słońcu trwało kilka godzin i prawie zawsze pękała przy tym skóra. Odkryli wkrótce, że doskonale do tych warunków są indiańskie mokasyny. Są idealnie dopasowane do życia w lesie i na równinach. Nawet dzisiaj są one uznawane za jedne z najlepszych typów obuwia.

Nazwa miękkiego skózanego indiańskiego obuwia wywodzi się z dialektu Wschodnich Algonkinów od słowa *mokasin* lub *mowhasun*. Mokasyny były powszechne prawie w całej Ameryce Północnej z wyjątkiem Indian żyjących wzdłuż granicy meksykańskiej, północno-wschodniego wybrzeża i południowych równin, którzy przeważnie chodzili bos.

Istnieją dwa podstawowe rodzaje mokasynów: leśne i równinne. Pierwszy zrobiony jest prawie cały z jednej części miękkie wyprawionej skóry z przyszytym małym kawałkiem na wierzchu. Drugi ma podszewkę z twardej niegarbowanej skóry, która przyszyta jest do miękkie wyprawionej górnej części. Twarde podszewki mokasynów stosowane przez Indian Równin ochraniały stopy przed stwardniałą, spaloną słońcem ziemią, ostrymi kamieniami oraz kolcami kaktusów. Natomiast elastyczne podszewki stosowane przez Indian leśnych są doskonale przystosowane do chodzenia po leśnych ścieżkach, zwalonych pniach drzew, śliskich głazach, jak i pływaniu w kanu.

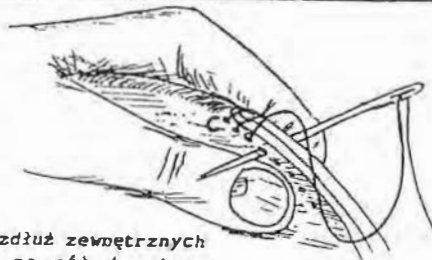
Uszyte mokasynów to bardzo prosta czynność. Najlepiej do tego celu nadaje się miękko wygarbowana skóra bez lica (blyszczącej powierzchni). Jeśli nie mamy innej, dobrze jest zostawić lico, choć nie jest to konieczne. W tym celu należy kawałek skóry przeznaczony na mokasyny położyć na kolanie i zwykłą piłką do metalu (brzeszczotem) lekko zdrzeć lico. Mokasyny bywają bardzo często wilgotne, a przy suszeniu skóra robi się sztywna i wtedy lico zaczyna pękać.

1. Na złożonej kartce papieru odrysować stopę. Wokół powstałego kształtu narysować linię w odległościach podanych na rysunku i całość wyciąć.



2. Rozłożyć formę i na jednej z połówek zaznaczyć linię A w połowie między brzegiem a zgięciem. Następnie narysować w miejscu gdzie stopa jest najszersza linię B prostopadłą do linii A. Długość linii B jest równa szerokości stopy minus około 2,5 cm. Wymiary pokazane na rysunku są dla stopy rozmiaru 8.

3. Formę przyłożyć do skóry i odrysować. Na rysunku pokazany jest wykrój na lewą stopę, na prawą wystarczy go obrócić na drugą stronę.



4. Wyciąć wzdłuż zewnętrznych linii. Złożyć na pół i ostrym sztyłem zrobić tylko 7-8 dziurek około pół centymetra od brzegu, zaczynając od punktu C. (Nie robić wszystkich dziurek od razu, gdyż skóra może się wyciągnąć. Nie robić ich także zbyt daleko od brzegu.)

5. Woskiem pszczelim dobrze nawoskować, najlepiej stylonową nicią, nawlec na nią szną igłę do cerowania i zszyć mokasyn, zaczynając od punktu C do końca. Robiąc co jakiś czas następne dziurki.

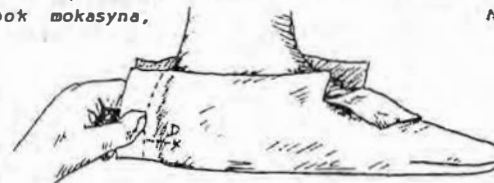
6. Przewrócić zszyty mokasyn na prawą stronę i przeciąć wzdłuż linii A i B.

7. Wyciąć dwa kawałki skóry szerokości linii B i długości około 7,5 cm. Służą one jako języki, które należy przyszyć wzdłuż linii B, takim samym ściąganiem jak bok mokasyna, szwem do wewnątrz.

8. Włożyć mokasyn na właściwą nogę i dopasować długość, jak pokazano na rysunku. Zaznaczyć linię i odciąć nadmiar.

Narysować linię D.

9. Wyrócić mokasyn z powrotem na lewą stronę. Zszyć tył, od czasu do czasu wkładając mokasyn na nogę, by upewnić się, że pasuje.



10. Wystającą klapkę przyszyć po zewnętrznej stronie mokasyna. Dziurki w oleję zrobić sztyłem podkładając sobie drewniany klocek.



11. Z kawałka skóry wyciąć dwa rzemyki, które będą służyć jako sznurowadła i przełożyć je przez dziurki wycięte dookoła obuwu mokasynów.

XVI ZLOT PRPI — KORNE'92

JECHAC NA ZLOT...

Koj wyjazd na XVI zlot Polakiego Ruchu Przyjaciol Indian, jaki odbywal sie w miejscowosci Korne koło Koscierzyny, do ostatnich chwil był niewiadoma. Chciałem być dzień przed otwarciem - w efekcie zjawiłem się dzień po. Na (nie) szczęście nie alyszalem obozowych rozporządzeń i do dziś nie wiem, czego miałem przestrzegać, a czego nie, i czy aby moje zachowanie było zawsze prawidłowe.

Przed laty każdej takiej wyprawie towarzyszyło podniecenie i niecierpliwosc - kiedy wreszcie będzie na miejscu. Tym razem jechałem przede wszystkim zadowolony: nerwowy zyciem w duzym miescie, nieporozumieniami z ludźmi, zbyt krótkim urlopem. Miałem nadzieję, że choć trochę odpoczne. Nie oczekiwałem niczego specjalnego - chciałem pobyc trochę wśród ludzi, z którymi wiąże mnie coś nie do końca oczywitego. Czy tylko Indianie - nie wiem. Zresztą nie rozmawiam na zlocie o Indianach.

Czasami pojawia się taka potrzeba spotkania, na przykład Miry i Andrzeja,

Jacka czy Roska, którego poznałem na III zlocie w Chodzieży (1979). Znamy się więc od dawna i widzemy dość często, a jednak... Bycie w lesie powoduje, że atajemy się inni dla siebie, jakby bardziej bliscy i zrozumieli. Może to jakieś prastare, atawistyczne pragnienie, jakieś pamięć o minionych wiekach, kiedy ludzie żyli bliżej siebie i bliżej natury... "Urodziłem się na prerii, gdzie wieje swobodny wiatr i nic nie przesłania słońca" - powiada Indianin. Tak to już z nami jest, że tęsknimy do krain ze snów.

Kiedy to piszę (początek września) ty, Rosku biegniesz gdzieś tam w Wyomingu czy Utah na trasie Świętego Biegu - Wyapa Zolvia 1992, Pozdrwiam cię serdecznie, życząc mocnego ducha i dużo sił. Anna, Ilona, Joanna, Jacek i Bartek "Zrodelko" - o was też pamiętam.

Przez dwa minione lata nie byłem na zlocie. Jakos tak wyszło, a może nie potrzebowałem. Myślałem, że mi przeszło, że wyrosłem, ale gdzie tam! Kiedy trzeba było wyjechać - nagły żal, że oto już po wszystkim, że trzeba zaciągnąć zeby i iść... i czekać na następny zlot.



Fot. Adam Wajrak

KILKA UWAG

O ORGANIZACJI ZLOTÓW

Zdawać by się mogło, że coroczne spotkania członków Polakiego Ruchu Przyjaciol Indian, zwane zlotami powinny mieć już ustalona tradycja forułu. Tymczasem zloty odbywają się od 16 lat i tyle mniej więcej trwa dyskusja nad nimi. Jedni są za ściśle organizacją kilku zlotowych dni, wypełnionych programem; na swobodne obozowanie przeznaczając dni po oficjalnym terminie zlotu (zawsze można było zostać parę dni dłużej). Drugi opowiadają się za dowołnością organizacyjną i programową: jeśli ktoś coś przygotował, proszę bardzo, można przedstawić; tu liczy się inicjatywa własna. Jeszcze inni są - zdaje się - wrogami wszelkiej organizacji i programu.

Należy uznanować raczej każdej ze stron. Przydatna byłaby jednak odpowiedź na pytanie: po co i dla kogo organizowane są zloty? Nasuwająca się prosta odpowiedź: "dla zainteresowanych Indianami" wydaje się mało precyzyjna, głównie dlatego, że ludzie jadący na zlot kierują się różnymi pobudkami i różne mają oczekiwania. Jednym foruła tegorocznego zlotu w pełni odpowiadała, inni byli rozczarowani.

Indianami interesuje się ponad piętnaście lat, byłem bodajże na dwunastu zlotach, znam sporo ludzi i mnie nie trzeba zabawiać, organizować mi rozrywki, bo ja sam potrafię o siebie zadbać i mile spędzić czas. Mnie osobiscie program i organizacja są niepotrzebne. Mnie osobiscie zlot bardzo się podobał i odpowiada mi jego foruła.

Nieco inaczej jest z osobami, które na zlocie są pierwszy raz, o Indianach wiedza niezbyt wiele i tu, na zlocie, chciałyby swą wiedzę poszerzyć. Najczęściej też mało kogo znają, o ile nie są zupełnie sami. Zlot zatem jest okazją do poznania innych ludzi. Takiej osoby nie wolno pozostawić samej sobie, jeśli poważnie myśli o naszym Ruchu Indianekim w Polsce. Taką osobą trzeba się zająć,

wyjaśnić pewne zasady funkcjonowania Ruchu, sprecyzować zainteresowania, wskazać najlepszą literaturę. Tylko w ten sposób można do czegoś dojść. Nie wolno jednak oczekiwać, że ludzie sami do nas przyjdą jeśli będą chcieli się czegoś dowiedzieć o Indianach. I tak, i nie. Przypominajmy ile trudu kosztowało niektórych z nas nawiązanie pierwszych kontaktów. Ludziom nowym, często bardzo młodym potrzebne jest nasze wyjście, potrzebny jest konkretny, godzinowy program dnia - by się nie nudzili i nie wyjeżdżali nazajutrz po otwarciu zlotu.

Pierwszą osobą, jaką spotkałem na drodze do obozowiska była dziewczyna z Łodzi, która właśnie udawała się w podróż powrotną. Na moje zdziwienie rzekła rozbrajająco: "nic się nie dzieje, jest nudno". Kilkundniowy pobyt na zlocie przekonał mnie o trafności jej stwierdzenia. Istotnie, działo się mało. Gdyby nie pomysły i energia Sat-Okha - to atmosfera byłaby zupełnie drętwa i nie do zniesienia. Sat-Okhovi należało się w tym miejscu szczerze słowa uznania za jego konkurencyjności i spotkania przy ognisku.

Za brak konkretnego programu na tegorocznym zlocie winić można tylko organizatorów, którzy nie pomyśleli o potrzebach różnych grup. Zadaniem organizatorów jest nie tylko wyzwanie terenu i zapewnienie spraw formalnych z tym związanych, ale również - zapewnienie programu dla osób nowych, stawiających pierwsze kroki na indianistycznej ścieżce.

Mówi się czasami, że zlot to czas wypoczynku, obozem - ale nie dla organizatorów! To właśnie oni mają zadbać o to, by uczestnicy wypoczęli możliwie najlepiej i dobrze spędzili czas. Dla organizatorów zlot jest czasem intensywnej pracy. Zenujące były dla mnie sceny beztronski organizatorów i bezradności niektórych nowych osób, którym nie miał się kto zająć. Tu muszę też wrzucić kamyczek i do własnego ogródka. Niestety, Stowarzyszenie Przyjaciol Indian również nie spełniło oczekiwań i nie zaproponowało nic sensownego, a szkoda...

Decydując się na organizowanie zlotu, jego twórcy powinni wziąć odpowiedzialność za całokształt spotkania. I te uwagi dedykowałbym wszystkim ewentualnym organizatorom następnych zlotów.

Marek Maciołek

GŁOSY ZE ZŁOTU

Na zlocie poznałam wielu ludzi długo interesujących się Indianami, dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy. Atmosfera była wspaniała, nigdy przedtem nie spotkałam tak bardzo zycziwych ludzi.

Ania, Poznań

Podczas tych kilku dni na zlocie, odczuwałam potrzebę bycia z dala od innych. Mnie się wydaje to dziwne, ponieważ jestem osobą, która lubi mieć koło siebie dość liczne grono ludzi. Jednak siedząc w lesie przez kilka godzin było mi bardzo dobrze. Dużo myślałam o temacie poruszonego przez kogoś poprzedniego wieczoru. Mówił on głęboko i pięknie o naturze. Wyrażał swoje słowa w sposób naturalny i prosty. Jego myśli zrobiły na mnie duże wrażenie (ukryte gdzieś głęboko).

Tak więc ze zlotu byłam zadowolona. Pierwszy raz w życiu odczuwałam taki inny żal z powodu tego, że muszę wyjechać. Pewnie wiesz, jak to jest, gdy poznasz nowych fajnych ludzi i z chwilą rozstania cierpiasz z tego powodu (czasem okazujesz to przez łzy). Jednak po zlocie było inaczej. Chodziłam smutna, przygnębiona - jakby świat mi się zawałił na głowę (nie z powodu poznanych ludzi, bo z nikim się bliżej nie poznałam). Myślę, że to z powodu tego klimatu, jaki tam panował.

Kasia, też Poznań

Główna wada tegorocznego zlotu była nieciekawa organizacja. Ci, którzy pierwszy raz wybierali się na zlot byli pewni, że cały czas będzie się działo coś ciekawego. Niestety, podczas pierwszych 2-3 dni naprawdę nic nie było - jedynie późnym wieczorem zaczynały się jakies tance. Chciałabym przypomnieć awanturę, jaka wydarzyła się podczas drugiej nocy. Z pewnością można było jej uniknąć, lecz trzeba przyznać, że okazała się skuteczna - gdyż od następnego dnia zaczęto organizować różne zabawy.

Jest jeszcze jedna niemiła sprawa. Wiekzoscni zlotowiczow nie podobało się, że wszystkie tipi ustawiono w kregu, a namioty musiały być oddalone od nich o co najmniej 40 metrow. Jeżeli ktos

chciał rozbić swój namiot bliżej - bywał wypraszany. Później przyjechał jakiś zlotowicz, który - z rozmyślan - rozstawił swoje tipi wśród namiotów. Obóz został więc podzielony. Na górze, gdzie stały tipi, to był "Manhattan", zaś na dole rozciągały się "slumy" Bronxu. Wydaje mi się, że nazwy te wymyślił ktos z "góry". Można przez to zrozumieć, iż ci w namiotach uważani byli za gorszych.

Bartek, Chełm

W tym roku po raz pierwszy byłem na zlocie. O wrażenia nie pytaj. Potrzebna jest alternatywa i to nie dla elit, ale dla ludzi, którzy mają jeszcze zapal.

Pełno snobistycznych podziałów na terytorialnych przynależności, zamowności (stroje, tipi) i Bog wie, czego jeszcze. Trzy czwarte ludzi mieszkających w tipi miało wanie wyzawosci, gdy przechodziło do rozmowy. Na szczescie nie wszyscy sa tacy. Moje słowa o konkretnym działaniu nie wywoływały aaly smaczin u ludzi z Białegostoku (Mirek, Adam), okolic Radomia (oprócz Niedzwiedziove; ho, ho, ho...), no i wreszcie Chief (Karek Długosz, przewodniczacy PSPi) i Anka Tomala. Z tą dwójka od razu znalazłem wspólny język.

Rafał z Bydgoszczy

To był mój pierwszy zlot, ale wyrzył we mnie wspomnienia, które pozostaną. Po raz pierwszy (chyba?) spotkałem tak niezwykłych ludzi, tak bardzo przyjaznych innym. Tu w tym miejscu chciałbym serdecznie podziękować Mirkowi Boguszowi z Białegostoku za to, że mogłem przebywać w jego tipi, podziwiać jego stroje i słuchać, słuchać o życiu Indian, ale nie tylko.

Tam w kregu, przy ognisku miałem szczescie dzielic swa obecność z innymi osobami, które przyzwały np. porozmawiać czy choćby tylko po to, by patrzeć w ogień! To niesamowite, ale właśnie ten krag ludzi i ogień stworzyły niesamowitą atmosferę; tam chciało się być, a nawet zdarzające się chwile milczenia nie były puste, miały w sobie coś tajemniczego, coś co sprawiało radość, coś co wypełniało człowieka.

Janusz, Czervionka



Przyjaciele!

Różny jest stan naszej wiedzy o pierwotnych mieszkańcach obu Ameryk, o Indianach. Miektórzy poprzestają na lekturze powieści Karola Maya, zapamiętując jedynie obraz szlachetnego wojownika i okrutnego dzikusa. Inni, często pod działaniem tych książek, zaczynają szukać nowych, ścisłych informacji. I gdy tak wertują strony kolejnej książki, kolejnego albumu, jeszcze jednego opracowania naukowego, zaczynają odkrywać bogactwa świata, w którym człowiek mówi o sobie: "Jestem natura". Często mówią, że trzeba słyszeć w duszy odgłos Iniafaskiego bębna aby nas poznać.

W języku Indian Dakota TATANKA oznacza "bizona-byka". W naszych zeszytach będziemy wędrować jego tropem. Poznamy faunę i florę okolic, którymi przechodziliśmy. Poznamy ludzi, którzy stawiali na jego drodze, ich zwyczaje, sposób życia, legendy, sztukę, historię. Porównamy okazy przyrody z Ameryki Północnej i Bioropy Środkowej.

Dlaczego to robimy? Dlaczego poświęcamy swój czas? Mówimy Wam: bo warto, bo nie wolno poprzestać na Karolu Mayu, jeżeli oczywiście pragniemy usłyszeć głos bębna.

Zapraszamy Was, chodźcie z nami śladami bizona po kraju Indian, uciecajcie się z tej wędrowki, poznacie przeszłość Indian i nauczyicie się czegoś więcej o nich samych. A taka nauka jest kluczem do naszego wspólnego dziedzictwa.

Zapraszamy do współpracy!

SKRZĘTNY BÓBR i DWIE GWIAZDY

kontakt listowy: Jacek Kumański
ul. Wielopole 10/8
31-072 Kraków

Dla Indian Wielkich Równin bizon amerykański (Bison bison) jest najpiękniejszym stworzeniem, dostarczającym im wszystkiego, czego potrzebowali do życia. Obdarzali go ogromną czcią i uważali za siedlisko nadprzyrodzonej mocy. Siła zwierzęcia gromadziła się przede wszystkim w głowie, stąd też obecność czaszek bizona w wielu uroczystościach religijnych.

Ocenia się, że na kontynencie amerykańskim na początku XVIII w. żyło około 75 milionów bizonów. Zwierzę to należy do przeżuwaczy z rodziny pasterozców i jest spokrewnione z żubrem europejskim. Różni się od niego krótszymi nogami, gęstszą sierścią, szerszą głową, przewagą przedniej części ciała nad tylną oraz jedną parą zębów więcej.

W Ameryce Północnej żyły dwie odmiany bizona: leśna i preriowa. Wiosną zwierzęta te przenosiły się na północne równiny. Na południe podążały jesienią, ale niekiedy nie były w stanie dokładnie określić miejsca ich pobytu.

W ogromne, imponujące swymi rozmiarami stado zwierzęta łączyły się w ledwie - okresie reprodukcyjnym. Wtedy to samce, w łapanach wzniesionego przez kopyta kurzu walczyły przeciwko sobie.

Nawet zbliżanie się zimy nie powodowało ogromnych wędrowek na południe. Liczne stada wybierały bowiem stawiande czoła zimom na miejscu.

Z nadejściem jesieni zwierzęta prezentowały się najokazalej. Indianie wybierali właśnie ten moment, aby zgromadzić potrzebne zapasy mięsa i skóry. Drugim okresem polowań był kwiecień.

Tam gdzie były biony były i Indianie. Przybrani w czapy ze skóry z głowy bizona, trzymając w dłoniach najlepsze swoje dzidy i łuki, śpiewając i tańcząc, myśliwi "wabili" biony w pobliże swojej wioski.

Okolo roku 1830 biali zaczęli korzystać z tej wspaniałej rezerwy mięsa. Sądzono, że biony nigdy się nie skończą. Gdy w Europie zwiększyło się zapotrzebowanie na futra bizonie, biały człowiek zmienił polowanie w masalare.

Obecnie te wspaniałe zwierzęta żyją w rezerwach przyrody.

Dwie Gwiazdy

Indianin — normalny człowiek

Książkę Thomasa Bergera można w zasadzie określić jednym słowem: arcydzieło, i na tym poprzestać. Nie istnieje żaden utwór (przynajmniej po polsku), który tak barwnie i wiernie zarazem przedstawia historię podboju amerykańskiego Zachodu. Bohater powieści, adoptowany Czejen, syn jednego z wodzów tego plemienia, Skóry Ze Starego Szalasu, uczestniczy we wszystkich ważnych wydarzeniach lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku; lat podboju i 'ucywilizowania' terenów między Missisipi a Górami Skalistymi. Dzięki niemu jesteśmy w obozach koczowniczych Indian, w wioskach ich osiadłych pobratymców, w pogranicznych osiedlach i fortach amerykańskich, w pełni cywilizowanych wielkich miastach jak St. Louis i w nowo zakładanych, jak Denver. Jedziemy na Zachód z karawanami pionierów, szukamy złota w Kolorado i budujemy kolej Union Pacific. Robimy to wszystko w galerii znakomicie scharakteryzowanych postaci od Indian z różnych plemion poczynając, a na mętach pogranicza - bandytach, azulerach, złodziejach i prostytutkach kończąc. Między nimi mamy oficerów i żołnierzy armii amerykańskiej cywilnych wiodących tropiących Indian, Kurzynów i Mekaykanów, hodowców bydła i kosmwojażerów, duchownych i rewolwerowców, osadników i poszukiwaczy złota, kowbojów, poganiaczy słońca i łowców bizonów. Postaci te nie są bynajmniej przerysowane, jak by wynikało ze stylu w jakim opisuje je Jack Crabb. Były takimi rzeczywiście i dotyczy to także postaci historycznych.

Niżej podpisany wyliczył sobie, że bohater powieści pana Bergera zetknął się z ponad czterdziestoma osobistościami, które przeszły do historii i legendy Dzikiego Zachodu. Jedne z nich poznał bliżej, inne nie, stąd też nie dysponujemy pełną ich charakterystyką. Postaci te zostały z pewnością odbrązowione, ale nie osmieźzone, jak chce wielu recenzentów tej książki. Na tym odbrązowieniu nic nie straciły, a wręcz przeciwnie - zyskały. Trudno dopatrzeć się czegoś śmiesznego u generała Custer, dzielnego Billa Hickoka, a nawet u Feralnej Jane czy Krwawego Noża. Jane można by nazwać ostatnią ewen-

turnicą, a Krwawego Noża nędznym pijacem, ale pamiętajmy, że Jack Crabb znał obydwójce bardzo krótko i tylko od tej jednej strony, z jakiej dali się poznać.

Kolejną wielką zaletą książki jest rzetelne ukazanie historycznego tła wydarzeń, w których dane było wziąć udział jej bohaterowi. Czarny Kociół, Siedzący Byk, Mały Kruk, Satanta, Chivington, Custer, Benteen, Earp, Charley "Milczek" Reynolds czy Hickok w opowiadaniu Crabba są takimi, jakimi byli w rzeczywistości. Opisy bitew, zarówno tych, których Crabb był uczestnikiem jak bitwy nad Washita, nad Rzeką Salomona, nad Slivkovym Potokiem czy bitwy z Custerem, a także tych, które znał z opowiadania (masakra nad Piaszczystym Potokiem, bitwa na wyspie Beechera, w której zginął Rzymski Nos czy bitwa u Szczytowych Źródeł, gdzie poległ Wysoki Byk) są dokonane z naukową wręcz drobiazgowością. Wiernie przedstawiono cały proces przemiany Dzikiego Zachodu w cywilizowany kraj, a więc odejście Indian i bizonów, powstanie nowych osiedli i miast, kolei żelaznych, kopalń i wielkich ranch hodowlanych z pełną charakterystyką ludzi, którzy dokonywali tej przemiany.

Osobne zagadnienie w tej książce to Indianie. Chyba po raz pierwszy Indianin jawi się na kartach powieści takim, jakim był naprawdę i nie ważne czy będzie to Czejen, Paunis, Wrona, Lakota czy Arikara. Widzimy go tutaj jako normalnego człowieka ze wszystkimi jego zaletami i wadami. Możemy podziwiać jego poczucie humoru, trzeźwy stosunek do spraw zarówno białych, jak i poważnych (na przykład poglądy Skóry Ze Starego Szalasu na życie, wojnę, śmierć; to co Mały Wielki Człowiek wyniósł od Czejenów na temat zabijania; stosunek Indian takich jak Skóra Ze Starego Szalasu czy Wielki Łos do białych ludzi czy poglądy wypowiedane przez Pauniaów w rozmowach z bohaterem książki), hojność, przywiązanie do bliskich i przyjaciół, waleczność. Zrozumiałe, że nie pociąga nas jego zamiłowanie do mocnych trunków i okrucieństwo, chociaż w tym drugim przypadku zgodnie z zaleceniami Małego Wielkiego Człowieka powinniśmy wykazać się dużą tolerancją. Indianin u Thomasa Bergera nie jest Indianinem Coopera i Maya, jest człowiekiem w

całym tego słowa znaczeniu i za to powinniśmy być autorowi wdzięczni przede wszystkim. Sprawa, o której już nie wspomina, jest wierna i barwny opis obyczajów Indian.

Ostatnią rzeczą, napomykną już przezmnie, jest język, jakiego używa bohater. Wyraża się on nader dosadnie, co nie tylko u recenzentów książki, ale również u przeprowadzającego z nim wywiad Ralpa F. Snella zyskało mu opinię cynika, człowieka nieokrzesanego i pozbawionego skrupułów. Nie można się z tym do końca zgodzić. Zwierzenia pana Crabba nie były przeznaczone dla uszu pensjonarki, choć i ona mogłaby wiele z nich skorzystać. Mały Wielki Człowiek był osobą wrażliwą, żył z ludziami i przywiązana do tych, którzy okazali mu serce. Jego rycerski romantyczny stosunek do kobiet - obojętnie, czy są to Indianki, damy jak pani Pendrake czy dziewczęta z domu Dolly - przeczy określeniom, jakim go obdarzono i powinien zapewnić mu stałą sympatię czytelników, przynajmniej pięć pięknej.

I na zakończenie dwa słowa o przekładzie, którego jakoś stanowi o odbiorze książki, a kto wie, czy nie o jej istocie. Tutaj przekład Lecha Jęczyńka dorównuje w pełni kunsztowi pisarakiemu Thomasa Bergera. Można by się, co prawda, doczepić do takich drobiazgowości jak nazywanie Czarnego Kotła "Czarnym Kociołkiem" i Małą Skalę "Małym Kamieniem"; dalej: rodzinę Olgi zabił Słukowie Santee, a nie zginęła w Santee (s. 200), ale są to naprawdę drobiazgi, które w niczym nie szkodzą jakości tłumaczenia. W końcu pan Jęczynek nie jest Indianiną i może sobie pozwolić na nazywanie Wron "Krukami".

Cheyenne

Thomas Berger: *Mały Wielki Człowiek*. Przeł. Lech Jęczynek, Wyd. I. PIW 1988, wyd. II. Wydawnictwo Wojciech Pogonowski, Warszawa 1991

UWAGA: Książkę tę można nabyć u wydawcy TAWACINU. Jej cena wraz z przesyłką wynosi 32.000,-

TIPI, ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo

TAWACIN PROPONUJE:

CHRZEŚCIJAŃSTWO I INDIANIE

Bartolomé de Las Casas: *Krótka relacja o wyniszczeniu Indian*. "W drodze". Poznań 1988, cena 15.000,-
Las Casas był dominikaninem, który jako jeden z pierwszych wstał się za Indianami w czasie, gdy hiszpańscy konkwistadorzy podbijając Nowy Świat, niszczyli imperium Inków i Azteków. Jego wydana w 1552 roku "Krótką relacją..." do dziś pozostała wstrząsającym świadectwem podboju tubylczych ludów Ameryki.

Brian Moore: *Czarna Suknia*. Graffiti. Kraków 1992, cena 29.000,-

Pierwotwór literacki filma Bruce'a Beresforda *Blackrobe* (Czarna Suknia) o misji jezuitów wśród Huronów i Algonkinów na początku XVII w. Opowieść o Indianach leśnych, jakich dotąd nie znaliśmy; opowieść o zderzeniu dwóch zupełnie różnych systemów filozoficznych i religijnych; o miłości, posłuszeństwie i wierze.

Robert Bolt: *Misja*. PAX. Warszawa 1990, cena 15.000,-

Powieść, według której Roland Joffé nakręcił znakomity film pod tym samym tytułem, z udziałem Roberta de Niro (Mendoza) i Jeremy Ironsa (ojciec Gabriel). "Misja" to XVII-wieczna historia jezuitów, którzy w sercu paragwajskiej dżungli nawracają tubylców i wprowadzają ich w arkana rzemiosła i sztuki. Pewnego dnia stają w obliczu dramatycznego wyboru: okazać posłuszeństwo wobec władz kościelnych i porzucić Indian na pastwę łowców niewolników, czy walczyć i umrzeć za prawdę i wiarę...

Najnowszy numer miesięcznika oo. dominikanów W DRODZE nr 11/231/rok 1992, poświęcony rocznicy 500-lecia ewangelizacji Ameryki. W nim m.in.: *Droga do Indii* Romana Baka błyskotliwy wstęp o misjach katolickich wśród Indian oraz kalendarium wydarzeń. Obok tego bardzo dyskusyjny materiał ks. Mariana Banaszaka *Kościół Ameryki Łacińskiej po 500 latach*. Ponadto artykuł Marka Maciołka *Wierzyć i wątpić* oraz fragmenty książki *Mówi Czarny Łos* w tłumaczeniu M. Maciołka i Marka Nowocienia.

cena 12.000,-

LITERATURA

Longin Jan Okoń: *Plonąca preria*. Wyd. Lubelskie. Lublin 1989, cena 12.000,-
 Historyczno-przygodowa powieść o wojnie Czarnego Jastrzębia z okresu 1820-1832 w obronie plemiennych ziem. Wśród bohaterów - Ryszard Kos, znany z wcześniejszej trylogii o Tecumsehu.

Tylko stemia przetrwa... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. Wybór i oprac. Leszek Michalik. 50K Sztum 1992, cena 26.000,-

Legends i opowieści, pieśni, sztuka krasowódzka, wspomnienia i poezja.

HISTORIA

Ewa Novicka i Izabela Rusinova: *Indianie Stanów Zjednoczonych*. Antologia tekstów źródłowych. PWN. Warszawa 1991, cena 60.000,-

Wybór dokumentów, traktatów i przemówień (z komentarzem) ilustrujących historię i współczesność Indian w USA. Ilustracje mapy, twarda oprawa.

REKONSTRUKCJA

Mieszaw K. Niedźwiadek: *Indianie techniki zdobienia koralikami*. Tipi, Wielichowo 1992, cena 13.000,-
 Zrób to sam (krok po kroku): bransoletki łańcuszki, rozetki, paski i inne wyroby z koralików. Różne techniki tkania, wieszania i plecienia koralikami. Dużo wzorów.

INNE

Marek Haas: *Medylacje szamanickie*. Miniatura. Kraków 1991, cena 13.000,-
 Szamanizm jest nazywany czasem "religią Ziemi", tak silnie powiązany jest z kulturą natury i cyklicznością jej procesów. Szamanizm opiera się na przekonaniu, że wszystko co nas otacza, jest święte.

Zamówienia kierować:
 TIPI, ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo

Realizacja zamówień trwa do 3 tygodni. W cenę książki wliczone są koszty opłaty pocztowej.

Anna, Białoogard

Wiesz, pewnego wieczoru wracałem do domu brzegiem jeziora. Było już całkiem ciemno i świecił na niebie ogromny pyzaty księżyc. Z dala usłyszałem dźwięki fletu. Kończyłem kiedyś szkołę muzyczną, więc ucho mam wyczulone na muzykę: tak brzmią tylko flety peruwiańskie, a muzyka też była typowo andyjska.

Podszedłem bliżej. Na topie rybackiego stanowiska, wśród gęstych trzcin i na tle księżycy stał niewysoki chłopak i grał.

Grał do Babki-Księżycy, grał w pełni księżycyca.

Siadłem za nim na ławce, już aby posłuchać, już aby być jego plecaczem (włóczył się tam mnóstwo pijanych mętów).

Piękna to była muzyka. Słuchałem coś koło godziny, a moje serce błędziło gdzieś dolinami Urubamby.

Skończył i znikł szybko i naprawdę bezszelestnie jak upiór nie z tej ziemi i nie z tych czasów, a ja idąc szczęśliwy do domu pomyślałem, że moje młode lata nie całkiem poszły na marne.

Jacek

Nie wiem, kto wymyślił tytuł do artykułu Szamana o Mike'u Benvellu - "Indiański korespondent" - ale nazywanie sekretarza Konfederacji Sześciu Narodów "korespondentem", przy jednoczesnym całkowitym pominięciu, jak ważną funkcję pełni Mike i jak ważnym w istocie rzeczy jest człowiekiem wśród Ludzi Tradycji to chyba coś więcej niż błąd i nietakt. To po prostu obrażanie człowieka, który tak wiele wysiłku wkłada w to, co robi dla Ruchu. Oczekujemy, że ktoś to naprawi i przynajmniej w następnym TAWACINIE, na widocznym miejscu, ukaże się notatka uzupełniająca informacje, gdyż Mike ma prawo do zadośćuczynienia.

Ervina i Małgorzata, Kraków

Przedemną leży jeden z numerów TAWACINU, który otrzymałam od znajomego. Jest to mój pierwszy TAWACIN, jaki otrzymałam w swoim życiu. I jestem pod wrażeniem. Wasze pióro dużo uczy i obala stereotypy o Indianach, powszechnie znane i krążące wśród ludzi. Interesuje mnie sztuka użytkowa i prace codzienne kobiety indiańskiej. (...) Na zakończenie powiem, że macie tylko jedną wadę: jesteście kwartalnikami.

Zasady prenumeraty:

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena detaliczna jednego numeru wynosi 10.000 zł., w prenumeracie - 8.000 zł. Prenumerata roczna kosztuje 32.000, półroczna 16.000.

Osoby zamawiające 5 i więcej egzemplarzy jednego numeru otrzymują 15% rabatu. Dla sklepów, księgarń i hurtowni - dalsze zniżki.

Kwotę należy wpłacać na konto:

TIPI, MAREK MACIOŁEK
 UL. ŁĄKOWA 3
 64-050 WIELICHOWO

BS W WIELICHOWIE
 Rk nr 56531-136-61

Prosimy o dokładne i czytelne podawanie adresu w korespondencji. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

Dziękuję Jerzemu Tołłoczko za koperty i przekaz oraz Markowi Cichomskiemu za pomoc w rozsyłaniu TAWACINU.

UWAGA: Osobę, która przysłała do mnie dwie nie podpisane, a ładne pocztówki, proszę o kontakt.

MM

Rozwiązanie zagadki zatytułowanej "Wyprawa" z TAWACINU nr 2 (19).

1. (I)11-7=4 (II)7+7=14 (III)6
2. (II)14-6=8 (III)6+6=12 (I)4
3. (III)12-4=8 (I)4+4=8 (II)8

Za prawidłowe rozwiązanie zagadki nagrody (kasety z tradycyjną muzyką Indian Ameryki Północnej) otrzymują: Anna Holewa z Zabrza, Marcin Bona ze Słupska i Tomasz Cwikowski z Bochni.

Specjalne gratulacje za prawidłowe rozwiązanie dla siedmioletniego Wojtka Iwaszczuka z Białogostoku.

